№ 21. Warszawa, dnia 12 (24) Maja 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ZA NIEZNANEM

FANTAZYA

PRZEZ

Elizę Rostworowską.

W jasnym, białym, prawdziwie dziewiczym pokoiku, przy biórku, pochylona nad rozłożonym arkuszem papieru, siedziała młoda kobieta a raczéj młode dziewczę. Ręka trzymająca pióro opadła, główka wsparta na dłoni, zdawała się uginać pod ciężarem myśli tłoczących się tłumnie, ciemne wyraziste oczy, szeroko otwarte, patrzyły wprost przed siebie, nie widząc otaczających marzycielkę przedmiotów. Wdzięczna jéj postać, o delikatnie zarysowanych kształtach, podobną była do wiotkiéj gałązki pnączu.

Zegar w przyległym pokoju uderzył trzy razy, a odgłos ten spłoszył z przed oczów dziewczęcia lękliwe widmo marzeń. Pożegnała je przeciągłem westchnieniem, a przetarłszy czoło, popatrzyła w okno, przez które można było dostrzedz niewielki ogródek, pełen drzew i krzewów, których szmaragdowe szaty, jesień przetkała bogato, złotawą barwą o mnogich odcieniach. Przypomniawszy sobie po chwili, w jakim celu usiadła samotnie przy biórku, zebrawszy raz jeszcze rozproszone myśli, zaczęła pisać co następuje:

„*Wólka dnia 15 października 187...*

„Moja najdroższa Maryo! Trzy długie lata upłynęły, od téj pamiętnéj chwili, gdy u bram klasztoru rzuciwszy się w twoje objęcia, żegnałam cię łzami i łkaniem. Tyś zostawała jeszcze w pośród tych cichych, poważnych murów, wśród towarzyszek grona; mnie los rzucał gdzie indziéj. Życia rzeczywistego odgłosy, wzywały mnie do łoża umierającego ojca, do matki zrozpaczonéj, któréj od dnia tego stawałam się jedyną nadzieją, jedynym celem. Odtąd życie moje płynęło cicho wśród wiejskich zajęć, natura ukształciła mój umysł i serce, byłam oddaną saméj sobie, wyobraźnia rozwijała się bezwiednie, niepostrzeżenie. Pochłaniałam książki dobywane z biblioteczki, jaką posiadałyśmy w Wólce, nie zdając sobie sprawy ze zmian, które stopniowo zachodziły w duchowem mem państwie.

„Matka moja, która przecierpiała w życiu tak wiele, patrzyła ze łzą w oku na wzrastające siły swéj jedynaczki, ja z méj strony przysięgłam sobie nigdy jéj nie zasmucić. Przyrzeczenie to, nie wyszło z méj pamięci, tkwi ono w niéj do téj chwili. Biedna matka! składając zwłoki ojca mego w mogile, wraz z niemi, pogrzebała szczęście własne. Ukojenia srogich cierpień, szukała w pracy i w modlitwie. Starałam się rozweselić myśl jéj przygniecioną, i w mojéj obecności, w pieszczotach moich, zdawała się czerpać nowe siły do walki życia.

„Tak upłynęło dwa lata. Serdeczna rana méj najukochańszéj, zabliźniać się zaczęła, uśmiech częściéj powracał na jéj pobladłe usta, ja, miałam już lat siedmnaście, dawno przestałam być dzieckiem. Przez wzgląd na mnie, matka moja kazała odświeżyć nasz biały dworek, staroświeckie meble ustąpiły miejsca modniejszym i świeższym, w ogródku co wiosna rozwijały się stubarwne kwiatki, pielęgnowane moją własną dłonią, ptaszęta świergotały wesoło, wszystko uśmiechało się radośnie, wszystko mówiło mi o szczęściu w przyszłości. Lecz ja tym kwiatkom nie zwracałam ich uśmiechu, z méj piersi nie wypływała radosna nuta, wtórująca pieśni nuconéj przez niebieskich śpiewaków; patrzyłam na wdzięki natury ze łzą w oku, pieśń jéj smętnem w méj duszy odzywała się echem. Tęskniłam za nieznanem, nie zdając sobie sprawy z téj tęsknoty. Lecz gdy spostrzegłam oczy matki utkwione w méj twarzy, tłumiłam smutek, chowałam go w najskrytsze kryjówki serca, przywołując uśmiech na usta, lecz gdy oczy te ukochane w inną zwracały się stronę, pierwotna tęsknota powracała niebawem.

„W sąsiedztwie naszem, o miedzę, leży ładna wioska, z dużym ogrodem, z białym jak nasz dworkiem, otoczonym przejrzystą rzeczką i szmaragdowym łąk kobiercem. Właściciel téj wioski, człowiek w podeszłym wieku, nielubiący samotności, przed dwoma laty przeniósł się na stałe mieszkanie do miasta. Osierociały ogród nęcił mnie swą samotnością, często biegłam szybko przez pola, by wśród cienistych szpalerów spędzić kilka chwil na rozmyślaniu i nieujętych marzeniach. Często też, siadałam nad brzegiem srebrzystéj rzeczki, wśród cienistych wierzb, a słuchając szmeru fal płynących po kamienistem łożysku, myślałam o innym świecie o życiu wielkich i ludnych miast, nieznanych mi wcale. W tem to miejscu, po raz pierwszy uczułam w sobie natchnienie, wyśpiewałam pieśń, nieznaną mi dotąd; w téj pieśni słowach zawarta była cała tęsknota méj duszy, żal i smutek. Łzy drżały w mym głosie. Pieśń przebrzmiała, spokój mną owładnął, powróciłam do domu rozweselona.

„Od dnia tego, często przychodziłam w to miejsce, a usiadłszy u stóp wierzby płaczącéj, pokrywałam przyniesiony z sobą papier słowami pieśni, równie rzewnéj, jak owa pierwsza piosenka. Ustronie to stało się potrzebą mego serca, nie mogłam obejść się bez szumu fal, bez hymnu szeleszczących liści, to też z rozpaczą prawie dowiedziałam się, że Zacisze, tak się nazywa wioska, mieszcząca moją świątynię dumania, pozyskało nowego dziedzica, którego przyjazd spodziewany był z dniem każdym. W sercu mojem podniósł się rodzaj buntu. Naprzód znienawidziłam prawie tego, który przywłaszczył sobie moje państwo; poszłam pożegnać rzeczkę i wierzby i bardzo smutna powróciłam do domu póżnym wieczorem.

„W miesiąc potem, przed gankiem naszego dworku, stanął wózek zaprzężony dzielną czwórką karych koni, drzwi się otwarły i przybyły wszedł do pokoju. Był to młodzieniec liczący około lat trzydziestu, wysoki, silnie zbudowany, o szczerym wyrazie ogorzałéj nieco twarzy z błękitnemi oczyma, które patrzyły na świat jasno i wesoło. Bujne kędziory złotawych włosów, odrzucone w tył głowy odsłaniały białe i gładkie czoło. Był to nasz nowy sąsiad, pan Henryk Warski przybywający, jak sam oświadczył: złożyć uszanowanie zacnéj sąsiadce. Matka moja objąwszy jednem spojrzeniem całość téj postaci, podała przybyłemu rękę, na któréj on złożył pocałunek. Rozmowa zawiązała się między nimi, mówiono o okolicy, o gospodarstwie, komunikacyi, cenach zboża, stosunkach sąsiedzkich i o obywatelskich obowiązkach. Ja przez ten czas patrzyłam na gościa ze zdziwieniem prawie, nie tak bowiem wyobrażiłam sobie tego, który tak srodze względem mnie zawinił. Po wyjeździe właściciela Zacisza, matka moja nie szczędziła mu swych pochwał, mówiąc: słyszałam wiele o tym zacnym młodzieńcu, wszelako rzeczywistość przeszła oczekiwanie; zdania jego są wytrawne, pogląd na rzeczy trafny i wyrobiony, rady jakie udziela zdrowe i jasne. Dobrze to dla nas mieć takiego sąsiada, pragnę też mieć w nim przyjaciela. Mimo to na dnie mego serca została jeszcze odrobina niechęci i żalu do tego, który przywłaszczył sobie moje królestwo.

„W usposobieniu mojem zaszła w owym czasie pewna reakcya. Poetyckie natchnienie uleciało, wraz ze straconym dla mnie szumem rzeczki i cieniem wierzb: nie wystarczało mi już spokojne i ciche życie wiejskie, zapragnęłam innego świata, innych ludzi, niż tych którzy mnie dotąd otaczali. Nie chcąc by matka moja spostrzegła co się działo w umyśle jéj córki, unikałam dłuższéj z nią rozmowy, zajęłam się pilnie muzyką i rysunkiem, przenosiłam na papier widoki z natury, kwiaty i drzewa naszego ogrodu. Lecz jaskrawe barwy akwareli wydawały mi się mdłe, z pod biegających po klawiszach palców, wypływały melodye całkiem niepodobne do téj, którą słyszałam w głębi méj duszy wśród ciszy i zamyślenia. Dworek nasz wydawał mi się ciasny, nic mnie rozweselić nie zdołało. Uśmiechał się do mnie gwar wielkich miast, całkiem mi nieznanych, świetne zabawy, praca inna, wcale nie podobna do tych cichych wiejskich zajęć, o których nikt nie wiedział nawet. Zazdrościłam poetom których nazwiska czytamy wydrukowane na pierwszéj karcie książki zawierającéj ich utwory. Im składano hołdy, wymawiano ze czcią te imiona, a przecież, łatwiéj i stokroć przyjemniéj, tonąć wśród słodkich marzeń, dać się ukołysać poetyckiemu natchnieniu, niż pléć grządki z kwiatami, chować domowe zwierzęta i trudnić się tem nieznośnem wiejskiem gospodarstwem.

„Tak upływały dnie, długie skwarne dnie lata; usposobienie moje w niczem nie ulegało zmianie. Spostrzegałam niekiedy jak matka moja patrzyła na mnie z uwagą, wtedy lękając się by nie odgadła méj tajemnicy, z uśmiechem obejmowałam jéj szyję, starając się pocałunkami rozproszyć niepokój, rodzący się w jéj sercu. Jedna tylko rzecz zdolną była uspokoić nieco buntowniczego ducha: była nią myśl, iż życie zaczęło się dla mnie dopiero, że przyszłość gotowała mi niespodzianki, że i dla mnie błyśnie jasna gwiazda i wywiedzie z cichego ustronia na szerszy świat. Gdy zachodzące słońce ostatnie rzucało blaski, opuszczałam swe zajęcia, biegłam w najodleglejszy zakątek ogrodu i tam, zapominając o teraźniejszości, widziałam samą siebie, wśród innego świata, w otoczeniu innych, nieznanych mi ludzi. Odczytywałam wiersze mojego utworu, i znalazłam że są równie dobre jak te, które drukują na to, by je ogół czytał, a nawet podziwiał. Maryo! w umyśle mym rodziły się coraz nowe pragnienia i chęci, które wzrastając wzniecały wstręt do cichego życia, jakie do téj chwili było moim udziałem. Lecz nie czułam się jeszcze zupełnie nieszczęśliwą i godną pożałowania, bo przede mną błyszczała jasna promienna gwiazda nadziei.

„Nowy sąsiad nawiedzał nas bardzo często. Matka moja przyjmowała go chętnie, zewsząd o uszy moje odbijały się pochwały jakich nie szczędzili mu inni znajomi nasi. Mówiono o jego wielkiéj szlachetności, o hojnéj dłoni, dobrem sercu, niezmordowanéj pracy i łagodnym charakterze. Słuchając tego powzięłam myśl napisania poematu, którego bohaterem miał być pan Warski. Zaczęłam mu się bliżéj przypatrywać, lecz wzywane natchnienie nie przychodziło. Kształty Henryka były zbyt rozrośnięte, włosy za jasne, uśmiech nadto szczery i dobroduszny. Nie, żadną miarą nie mógł on ani na chwilę, stać się celem mych marzeń, ideałem stworzonym przez moją wyobraźnię. W domu méj matki niewiele bywa osób, nie spotkałam dotąd ani jednéj męzkiéj postaci, choć trochę podobnéj do tego, który w marzeniach moich, w chwili zachodu słońca, stawał przy mym boku, by wraz ze mną zbierać mnogie hołdy i sławy wawrzyny. Niemniéj jednak częste spotkania nasze z panem Warskim, zbliżyły nas trochę do siebie; mówił chętnie z łatwością niczem się nie krępującą, ale patrzył na świat tak bardzo prozaicznie, na usta jego powracało ciągle słowo: obowiązek; tak mało dbał o poklask świata, był tak zadowolony ze swego położenia... słowem, on i ja stanowiliśmy zupełną sprzeczność. Niekiedy tylko, o szaréj godzinie, nim podano lampę, siedząc obok niego z zamkniętemi oczyma, mówiłam o mem dzieciństwie, o przeszłości, o tobie Maryo, i o naszéj przyjaźni. Słuchał uważnie nie przerywając; mnie się wtedy zdało że zamiast Henryka, przede mną stał tamten, mój wymarzony ideał, o bladem czole, głębokiem spojrzeniu i kruczych kędziorach. Lecz gdy promień zapalonéj świecy rozjaśnił szare półcienia, otwierałam oczy i czar rozwiewał się niezwłocznie a poczciwa, barczysta postać sąsiada w porównaniu z tamtym, traciła nawet rzeczywiście posiadany urok. Ogólnie bowiem nazywano go przystojnym mężczyzną, ja jedna nie dostrzegałam w nim téj zalety.

„Raz nawet, pamiętam, było to w piękną noc księżycową, przechadzałam się wraz matką moją po ogrodzie, gdy tuż po za sztachetami jakie okalają terasę, dał się słyszeć tentent kopyt końskich. Spojrzawszy w tę stronę, spostrzegłyśmy Henryka jadącego przez pole. Ujrzał nas, zwolnił biegu swego wierzchowca, a zachęcony słowami powitania jakie mu matka moja przesłała, zeskoczył z siodła, przywiązał konia do płotu i zbliżył się ku nam. Na wstępie objaśnił, iż nie potrafił odmówić sobie przechadzki w tak piękny wieczór, który zdawał się być zadośćuczynieniem po dniu skwarnym i duszącym. Usiedliśmy na darniowéj ławeczce.

— Jak tu ładnie, rzekł, oglądając się dokoła, prawdziwie miejsce to stworzone do marzeń, gdybym był poetą, tu przychodziłbym czerpać natchnienie.

„Po raz pierwszy słyszałam słowa: poeta, marzenie, wymówione przez jego usta. Zamknęłam oczy, wsparłam głowę o pień lipy pod którą siedzieliśmy w téj chwili i zwolna opowiedziałam, jak niegdyś siedząc na zielonéj murawie, w cieniu wierzb płaczących, po nad kryształową rzeczką, nauczyłam się marzyć o ideale nieznanym, śpiewać pieśni z duszy płynące. Potem dodałam, jak długo został w sercu mojem żal po utraconym raju. Słowa cisnęły się na usta i byłabym mówiła tak długo, bez przerwy, gdyby nie szelest skrzydeł nocnego ptaka, który zerwał się z po nad méj głowy i uniósł w powietrze. Otworzyłam oczy: Henryk patrzył na mnie ciekawie, lecz w spojrzeniu tem nie spostrzegłam wyrazu głębokiéj tęsknoty, na czole jego nie było bruzdy wyrytéj zawodem. Po drugiéj stronie siedziała matka moja zatopiona w myślach, nie słyszała nawet słów moich. Umilkłam.

— Jakże żniwo posunięte u pana? rzekła po chwili matka moja.

„Henryk nie zdawał się zdziwiony tem zapytaniem; widocznie myśl jego nie uniosła się nad poziom i słowa méj matki nie zbudziły go z marzeń o innéj nadziemskiej krainie, gdyż bez wahania odpowiedział. Co mówił; nie wiem dobrze, bo serce ścisnęło mi się gwałtownie: uczułam się niezrozumianą i nieszczęśliwą. Powstawszy pobiegłam ku domowi. Po chwili przez otwarte okno, łagodny wietrzyk przyniósł do mych uszów oddalający się tentent kopyt końskich.

„Czas upływał. Jesień miała się ku schyłkowi, niekiedy już chłodny wietrzyk powiewał, kwiatki straciły barwę, słońce słabiéj ogrzewało puste łany i zielone młodych zbóż piórka. Strasznie pusto i ciasno było mi wśród ścian białego dworku. Wszystkie marzenia i chęci wykołysane pod opiekuńczem skrzydłem pięknéj natury, rozrywały mi serce, walka jaką toczyłam z samą sobą, codzień czyniła mnie mniéj silną, nieraz chciałam już biedz do matki, wypowiedzieć jéj wszystko, prosić by dała mi poznać szerszy świat i inne życie. Dnia jednego, było to przedwczoraj, przeczytawszy większą część moich poezyi, uczułam taki żal na myśl, że mogłyby one nieznane, przez długie lata leżéć w głębi mego biórka, i może kiedyś skończyć w płomieniach kominkowego ognia, przy którym mieszkańcy głuchych wiosek ogrzewać się zwykli po całodziennéj pracy na mroźnem zimowem powietrzu, że wybiegłszy z mego pokoiku, pobiegłam do bawialni, gdzie spodziewałam się zastać matkę moją. Na ustach mych była prośba, którą pragnęłam wypowiedziéć co prędzéj. Chciałam błagać jéj, by wraz ze mną opuściła cichą wioskę naszą i zechciała udać się na zimę do stolicy. Chciałam wypowiedziéć jéj całą prawdę, mówić o moich nadziejach, pragnieniach, o chwilach walki i smutku. Pilno mi było wyspowiadać jéj to wszystko, to też szybko wbiegłam do saloniku. Uczułam się żywo podrażnioną zastając tam pana Henryka Warskiego, o którego przybyciu, nikt mnie nie uwiadomił. Nie wiem czy matka moja spostrzegła na méj twarzy wyraz niezadowolenia, gdyż patrząc mi w oczy badawczo, rzekła łagodnie, lecz z odcieniem stanowczości dotąd mi nieznanéj:

— W samą porę przychodzisz Janino, mówiliśmy właśnie o tobie, a że w téj chwili obowiązki gospodyni domu wzywają mnie po za kulisy, pozostawiam cię w towarzystwie naszego zacnego sąsiada. To mówiąc wyszła z pokoju.

„Musiałam wyglądać jak skazaniec czekający na egzekucyą, czułam bowiem że nie prędko nadejdzie znów dla mnie chwila podobnéj odwagi; wyznanie jakie chciałam uczynić, zadusiło mnie niemal; daremnie szukałam słów na powitanie gościa. Lecz on nie zdawał się spostrzegać mego pomieszania; zbliżył się do mnie a uściskawszy serdecznie podaną sobie rękę, czekał bym usiadła, potem spokojnie, bez widocznego wzruszenia. zaczął mówić co następuje:

— Szanowna matka pani wychodząc, nadmieniła że przed chwilą mówiliśmy właśnie o niéj. Czy pozwolisz pani bym jéj powtórzył rozmowę naszą?

„Nie mogłam jeszcze mówić, skinęłam więc tylko głową na znak przyzwolenia. Muszę jednak sięgnąć myślą nieco dalej, mówił Henryk patrząc w ziemię, muszę przypomnieć pani ten sierpniowy wieczór, gdy przy świetle księżyca, w obec cichych lip tutejszego ogrodu, wypowiedziałaś pani tyle pięknych rzeczy, kończąc skargą wymierzoną przeciw temu, który bezwiednie ośmielił się zawładnąć twojem królestwem. Oburzenie twe było tak żywe, iż nie chciałaś dłużej patrzeć na owego przestępcę i odeszłaś pani, zostawiając go w towarzystwie swej matki. Wówczas on, ośmielił się zapytać, czyby mu wolno było zwrócić i ani tę świątynię i prosić, byś zechciała królować nad ustronnem Zaciszem. Matka twoja pani rzekła do mnie wtedy: jeszcze nie czas, poznajcie się lepiéj; jeśli bywając u nas często, za miesiąc nie zmienisz pan zdania, upoważnię cię do tego kroku. Dziś ponowiłem mą prośbę i otrzymałem zezwolenie. Nie pozostaje mi więc jak zapytać pani, czy uczucia jakie wznieciłaś w mem sercu mogłyby kiedyś znaleźć oddźwięk w twojem, czy zgodziłabyś się przejść ze mną drogę życia, tę drogę, która choć często zasłana cierniem nie jest całkiem pozbawioną wonnych i pięknych kwiatów cichego szczęścia, spełnionego obowiązku i wzajemnéj miłości. Ja ci oddaję serce Janino, serce które nigdy cię nie zawiedzie, jeśli uznasz, że dar ten godny jest ciebie, przyjm go pani a nazwę się szczęśliwym, i całemi siłami pracować będę nad twojem szczęściem. Przestał mówić zatrzymując na méj twarzy swe jasne spojrzenie.

„Nie byłam w stanie zebrać myśli. Zamknęłam oczy, lecz tym razem postać Henryka nie przybrała innych kształtów. Czułam spojrzenie jego utkwione we mnie, spojrzenie to, tak szczere, prawe, jak dusza której było odbiciem. Wypowiedzieć mu całéj prawdy nie mogłam: oddać w ręce jego swą przyszłość, nie, tego nie chciałam, bo to znaczyło zerwać na zawsze z tym światem, do którego wzdychałam tak długo, którego obraz wypieściły marzenia moje. Odrzucić prośbę jego, zasmucić matkę, która widocznie pragnęła tego związku? Wszakże przysięgłam sobie nigdy jéj nie zasmucić, a oszukać to zacne serce, kłamać przywiązanie, płacić obłudą za święte uczucia jakiemi mnie darzyło... nie, nigdy!

„Henryk czekał na odpowiedź spokojnie, bez najlżejszego odcieniu niecierpliwości, wreszcie, pochyliwszy się ku mnie rzekł: czy odpowiesz pani, czegóż spodziewać się mogę? Gwałtownym ruchem powstałam z miejsca, a stanąwszy przed nim wyjąkałam: nie teraz, nie dziś, jutro, pojutrze może! i nie czekając dłużéj, wybiegłam z pokoju.

„W godzinę potem matka moja wszedłszy do mego pokoiku, przytuliła mnie do swego łona i rzekła ze łzą rozrzewnienia w oku: nie dziwię ci się moje dziecię, pan Henryk też nie wziął ci za złe twego trochę za gwałtownego postąpienia. Nie spodziewałaś się, nie przyszło ci na myśl, że bezwiednie potrafiłaś wzniecić silne i prawdziwe przywiązanie w sercu tego zacnego młodzieńca. Nie potrzebuję ci powtarzać jak by mnie uszczęśliwił związek twój z panem Warskim; jeśli więc dziecię moje podzielasz uczucia jego, co mogłam spostrzedz biorąc miarę z częstéj zadumy osiadającej na twem czole, niezadługo będę mogła nazwać się najszczęśliwszą matką dwojga dzieci. Nie znalazłam słów na odpowiedź, nie mogłam wyznać prawdy, nie chciałam, nie miałam siły kłamać. Jakieżby było jéj przerażenie, gdyby nagle obdarzona darem jasnowidzenia, spostrzegła co się działo w sercu jéj córki jedynéj, dla któréj ona marzyła o cichem szczęściu, jakie niegdyś było jéj udziałem, a którego dotąd nie przestała opłakiwać. Jéj ono wystarczało, lecz dla mnie nie tego było potrzeba. Łzy cisnęły się do oczów moich, opanowało mnie uczucie gniewu i buntu przeciwko losowi, przeciw okolicznościom, ludziom, przeciw saméj sobie.

— Henryk powróci pojutrze, ciągnęła dalej matka moja, chcę ci zostawić dłuższy czas do namysłu; dziecię ukochane, niech cię Bóg natchnie, dając ci poznać wolę swoją, niech ci dopomaga w przyszłości. Nie wątpię że potrafisz uszczęśliwić Henryka, że jesteś godną miłości tego najzacniejszego serca. To mówiąc złożyła gorący pocałunek na mem czole i wyszła, zostawiając mnie pod wpływem nader przykrych uczuć.

„Pomyśl Maryo, czy mogę, czy powinnam jednem niebacznem słowem przyzwolenia, niweczyć wypieszczone marzenia, zawiązać przed sobą dobrowolnie stokroć może świetniejszą przyszłość, wyrzec się tego wszystkiego, co się tak bardzo do mnie uśmiecha, zagrzebać zdolności swe w cichéj wiosce, gdzie jednostajnie upływa życie, gdzie dziś niczem się nie różni od dnia wczorajszego, a jutro będzie do dzisiaj podobne. Mamże wyrzec się wymarzonego ideału, dla poczciwego Henryka? Nie, nie mogę, nie powinnam tego uczynić. Wcześniéj czy późniéj poznam inny świat, zakosztuję innego życia, to jakie znam dotąd, nie wystarcza mi, nie zadowolni mnie nigdy.

„Za godzinę rozstrzygną się losy nasze; w obecności Henryka, który tu niezadługo przybędzie wypowiem matce całą myśl moją, ona nie odmówi mym prośbom i błaganiom, za miesiąc może, gdy pierwsze śniegu płatki pobielą ziemię, zobaczymy się. Szczęśliwa istoto, żyjąca wśród gwaru miasta, dla ciebie dość wyciągnąć rękę, by zdobyć liczne hołdy i sławę, by wznieść się w oczach własnych nad poziom zwykłych, pospolitych ludzi. Noc dzisiejszą spędziłam bezsenną, z rozmyślania wynikło postanowienie niezmienne. Biedny, poczciwy Henryk, nie mogę przecież dla niego wyrzec się świetnych widoków w przyszłości.

Twoja na zawsze
Janina Borowska.
(d. n.)

SIEROTA.

Już świeci, już świeci słoneczko, ach znowu,
Promyki nam ciepłe i jasne przesyła.
Na łące tak wonno,—a ot tam u rowu
Pierwiosnek pachnący wyrasta...Ubyła
Nie jedna krzewina i z pola, z rozłogu
Nie jeden kwiatuszek pozostał pod śniegiem,
Ach czemuż sierotkę, podoba się Bogu
Trzymać tu na świecie?—Oj z biegiem
Rzeczułki, popłynę daleko za światy,
Niechajże ... co mi tam—te łąki i gaje,
I tęskne fujarki, i drzewa, i kwiaty
Popłynę daleko, w podwodne gdzieś kraje.
Co mi tam,—niech sobie,—cóż tutaj zostawię?
Nikogo,—Czy pieska, czy kotka czy człeka?
Czy sprzęty, czy krówkę, czy gąski na trawie?
Nikogo,—wiec dalej,—nikt na mnie nie czeka.
Ot dalej,—no prędzej, plusk w wodę jak rybka,
I w głębiach swą główkę utulę sierocą,
A woda swą falą uniesie mię chybka.
Lecz czasem, nad brzegi powrócę tu nocą,
By słuchać słowiczka w poblizkiej leszczynie,
I uszczknąć kwiateczków na wianek od święta,
Boć to mi przystało, choć biednéj dziewczynie.
Wtem słowik zanucił, podniosła oczęta,
I tęskno spogląda, i piosnką się poi,
Fujarka zadźwiękła, w oddali gdzieś kona..
Pod lasem tuż drogą pochyły krzyż stoi,
A na nim Bóg-Człowiek wyciąga ramiona
Jak gdyby otulić, przygarnąć chciał ludzi...
A dzwonek swym głosem srebrzystym ich woła
Tam, kędy otucha z nadzieją się budzi.
I dziewczę zadrżało, a w dali wciąż dzwoni,
A dzwonek po rosie donośniéj wciąż dźwięczy,
I każdy kwiatuszek z pokorą się kłoni...
I las się kołysze, robaczek gdzieś brzęczy,
I wszystko sie modli. w chór jeden się zlewa...
„O Boże jam jedna, jaż tylko jedyna
„Śmiem sarkać?... gdy lasy i kwiaty i drzewa
„I wietrzyk ten wonny, i wszystko w pokłonie?...
„I wszystko drży pieśnią, tą pieśnią uroczą,
„Co wtórzą jéj echem, i głębie, i tonie...
„Oh niech mię wspomnienia tych pieśni otoczą,
„Niechaj mię prowadzą wśród życia złéj drogi,
„Obronią od smutku i ciężkiej tęsknicy...
„A gdy mną owładnie zwątpienie, żal srogi,
„To piosnkę zaśpiewam do Bogarodzicy,
„Tak rzewną, tak szczerą, że niebo przepłynie
„I wprost się przed Bogiem ostoi,
„Pod Jego opieką sierota nie zginie
„On smutek, tęsknicę, łzy żalu ukoi.

Z. Morawska.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Przy tych żartobliwych słowach miała Flaminia tak rozkoszny uśmiech na twarzy, tyle jakiegoś ukrytego szczęścia malowało się w jéj szafirowych oczach, że podwójnie szczęśliwa dzisiaj Eliza rzuciła się w jéj objęcia i serdecznie ją uściskała.

— Dobrze, dobrze, wołała śród uścisków, już wszelką odpowiedzialność biorę na siebie! Już wolę, że tutaj stracisz głowę niżeli-byś miała mi w moim departamencie jaką szkodę wyrządzić. A przyznam ci że mocno się tego obawiałam! Gdy cię wziął za rękę, to zadrżał jak słoma, gdy się pod nią ogień podkładał!...

— Bądź spokojną!

— Wtedy dopiero będę spokojną, gdy cię obaczę w mojéj dzisiéjszéj roli... i tak samo zakochaną.

— Więc przyznajesz się już...

— Dla zachęcenia ciebie!

Nastąpiły nowe uściski, które były jednak tym razem przerwane. W téj bowiem chwili otworzyły się drzwi, a do pokoju wsunął się pan Salezy podtrzymywany przez Maryana i służącego.

Właśnie w téj chwili skończyła staruszka ubierać się i zawezwała do pomocy Flaminii. Flaminia weszła do drugiego pokoju a za chwilę pojawiła się na progu ze staruszką, która z serdecznym uśmiechem witała zacnych gości swoich.

Chwila ta, która dwoje ludzi zbliżyła do siebie, miała w sobie wiele poezyi przedstawiając dwie grupy w wysokim stopniu malownicze.

Z jednéj strony sędziwy starzec pochylony w połowie do grobu a przytrzymywany przy życiu silną ręką dorodnego w męzkim wieku syna, a z drugiéj wyszła na jego spotkanie staruszka zgrzybiała prowadzona przez słabą, wątłą ale silną sercem i poświęceniem dziewicę...

Oboje spojrzeli na siebie... oboje poraz pierwszy poznali się przy obowiązkach swoich, obowiązkach krwi i serca, które odsłoniły im życie ludzkie ze strony poważnéj...

Nie spotkali się na balu, ani na czarodziejskiéj operze, serca ich nie uderzyły do siebie przy ogniu bengalskim, nie słyszeli nawet owych magicznych tonów muzyki, która tak dziwnie serca ludzkie otwiera .. ale zeszli się razem przy surowym obrazie życia ktory nie tylko kazał im być podporą tego co słabe i upada, ale okazał im oraz własną ich dalszą przyszłość, która takiéj saméj wymagać będzie pomocy, jaką oni dzisiaj innym wyświadczają!...

Oboje nie mówili wiele przy pierwszém spotkaniu, nie popisywali się ani dowcipem ani błyskotną ironią, nawet o zwykłe, powszednie słowa jakoś trudno im było, zarumienili się tylko patrząc wzajem na siebie.

Moment ten tak jasny i tak ważny w życiu ludzkiem przeminął czy raczéj usunął się w głąb, a jego miejsce zajęło zwykłe powszednie życie.

Pan Salezy przedstawił kobietom Maryana, a uprzejma staruszka zaczęła zaraz wypytywać go o różne nowiny krajowe, prywatnéj i publicznéj natury. Pytała o znajomych i nieznajomych, mówiła o nadziejach i obawach a wreszcie przeszła na owe codzienne troski i rozkosze, z których jak mniéj lub więcéj udatna mozaika składa się życie ludzkie.

W rozmowie wzięła udział pani Apolonia komentując i poprawiając jak to było jéj zwyczajem, pan Salezy we wszystkiem stał po stronie syna, a Eliza od czasu do czasu szeptała coś do różowego uszka Flaminii, która była milczącą a nawet zdawała się wcale nie słuchać przyjaciółki.

Wreszcie zwróciła Eliza uwagę wszystkich na to że najprzyjemniejszy do przejażdżki czas upływa, i wszyscy zaczęli się powoli do swoich gondoli udawać.

Podzielono się w ten sposób, że po troje wsiadło do jednéj gondoli.

Eliza, Maryan i Flaminia usiedli razem.

Maryan po raz pierwszy płynął po wodach weneckich. Ale urok tych wód był dzisiaj tylko tłem czarodziejskiem, na którem jak na złotéj kanwie, haftowała młoda wyobraźnia jakieś cudne, czarodziejskie kwiaty, jakich może w całem królestwie roślinnem nie ma...

Zdaje się, że takich kwiatów wiele natworzono na téj przejażdżce, bo przy trzech żywiéj dzisiaj bijących sercach, pracowały trzy wyobraźnie...

Wreszcie zaczęło słońce powoli chować się za kopułę kościoła Maryi della Salute. Widok był uroczy, bo kościół ten zbudowany na samym cyplu ziemi wchodzącéj już w morze, jako wotum grasującéj ongi zarazy morowéj, przedstawiał się teraz patrzącym z gondoli w podwójnych swoich kształtach. Jeden kopułą i kolumnami strzelał pod niebo złociste, drugi zanurzał się w wodach tworząc czarodziejski pałac mieszkających tam Najad...

Ale zachwycający ten widok był oraz hasłem dla szczęśliwych, że nadszedł czas powrotu. Zwrócono gondole i wszyscy zatopili się w głębokiem milczeniu, patrząc na wspaniały obraz zachodzącego w Wenecyi słońca.

Nagle śród złotego przezrocza zamajaczyła przed nimi czarna gondola. Eliza pierwsza poznała ją. Z uśmiechem zwróciła oczy na nią.

Gondola zbliżała się coraz więcéj, wreszcie zrównała się prawie z gondolą polską. Siedział w niéj mężczyzna okazałéj postawy z czarną brodą trzymający w ręku dwa bukiety, jeden z białych kwiatów drugi z różowych.

Ukłonił się damom i zręcznym skokiem dostał się na ich gondolę. Bukiet białych kwiatów podał Flaminii, różowe dostały się Elizie.

— Hrabia Stella! rzekła Eliza do brata.

Hrabia podał rękę Maryanowi.

— Tak gorąco oczekiwano tutaj pana, rzekł do niego, i tak często mówiono o panu, że na pięćdziesiąt kroków obaczywszy pana byłem pewny, że to może być tylko szanowny brat pani Elizy. Przeczuwając to słusznie pani Eliza nie miała nawet potrzeby przedstawienia mi pana.

Eliza uśmiechnęła się.

— Ukryty zarzut, odpowiedziała, jaki się w tych słowach mieści, niech pan sobie jak najkorzystniéj wytłomaczy. Zapomnienie się moje było tylko skutkiem wrażenia, jakiego doznałam na widok... tak wspaniale zachodzącego słońca. Patrz pan!

Hrabia uznał piękność widoku, ale nie widział w tem bynajmniéj żadnych korzyści dla siebie... Mimo to cieszył się wraz z wszystkiemi ładnym widokiem, a z Maryanem rozpoczął rozmowę, jaka zwykle toczy się między tymi, którzy po raz pierwszy siebie widzą.

Flaminia podczas téj rozmowy bawiła się białemi kwiatami i uśmiechała się do nich, jakby one jéj coś opowiadały... o niedawnéj przeszłości.

Eliza z wytężoną uwagą patrzała na brata. Spostrzegła, że widok hrabiego sprawił na nim pewne wrażenie nieprzyjemne. Na jego czole osiadła chmurka zamyślenia, która nawet rozmowie przeszkadzała. Często dawał hrabiemu niestosowne odpowiedzi.

Na ustach Elizy drżał z tego powodu nieustannie jakiś uśmiech zagadkowy. Można było wnosić, że zadowolona jest z tego co widzi. A im większy niepokój Maryan okazywał, tym wyraźniéj rysował się ten uśmiech na twarzy Elizy, który jéj obiecywał coś bardzo dobrego.

Wreszcie przybito do marmurowych schodów hotelu, a że była to właśnie pora obiadowa, pożegnał hrabia wszystkich, Maryanowi serdecznie rękę uścisnął, i napowrót skoczył do swojéj gondoli.

Uderzyło to Maryana, że po odejściu hrabiego nikt o nim słowa jednego nie przemówił. Flaminia milczała, Eliza bawiła się bukietem, a rodzice Maryana byli zajęci w téj chwili staruszką, która z gondoli wysiadała i z nimi się żegnała.

Milczenie to powszechne o człowieku, który przecież jak domniemywał się według listów Elizy, pewną rolę miał w tem towarzystwie, nastroiło Maryana bardzo smutno. Zdawało mu się, że na jasny przed chwilą horyzont jego życia wychyliła się jakaś ciemna zmora, któréj już od dawna się obawiał...

Zamyślony i z chmurą na czole wszedł na górę. Przy obiedzie nic prawie nie jadł. A gdy podano czarną kawę, pod pozorem znużenia z podróży udał się na wczesny spoczynek do swego pokoju.

Spoczynku tam nie znalazł, bo się go téż tam znaleźć nie spodziewał. Chodził długi czas po pokoju, aż wreszcie obudziły go z zamyślenia dzwony pobliskiego Klasztoru, które o północy całym chórem się odezwały. Maryan nie wiedział o tym zwyczaju klasztorów weneckich i niespokojnie wyjrzał oknem. Ale tam za oknem, na wodnéj szybie morza był spokój głęboki, spokojny księżyc sunął się zwolna po szafirowem niebie oświetlając marmurowe milczące pałace światłem prawdziwie czarodziéjskiem...

Maryan cofnął się do pokoju, aby choć trochę po podróży i smutnych myślach swoich odpocząć.

Nad ranem dopiero zasnął trochę, ale zaraz w pierwszym śnie zjawił się poczciwy pan Krzysztof z książką pod pachą i nagadał mu bardzo wiele przyjemnych rzeczy. A zanim odszedł niezapomniał polecić mu ukłony dla pani Elizy a nawet coś jéj chciał powiedzieć, ale w téj chwili ktoś stuknął do drzwi a Maryan obudził się.

Za drzwiami odezwał się głos siostry. Dziwiła się że śpi tak długo, oświadczyła mu że ma list z kraju i zaprosiła go na przechadzkę z sobą po tarasie.

Maryan pragnął takiéj przechadzki, bo właśnie miał wiele do mówienia z siostrą. Ubrał się szybko i wyszedł na taras, gdzie go Eliza z listem w ręku oczekiwała.

— Na dzień dobry daję ci list, rzekła do niego, a wnosząc z tych wykrętasów mających pretensyą do kaligrafii sądzę, że to list od pana Krzysztofa. Tylko pan Krzysztof może tak adres wysztychować.

— Poczciwy Krzysztof, zawołał z radością Maryan biorąc list przyjaciela szybko z rąk siostry.

Rozdarł kopertę i zaczął czytać.

— Ach jaki zacny człowiek! Rzadki przyjaciel! Ze świecą szukać dzisiaj takich ludzi! wołał od czasu do czasu Maryan czytając list długi i szeroki.

Eliza patrzała na brata z ukrytym uśmiechem.

— Cóż tam pisze pan Krzysztof? zapytała.

— Wyobraź sobie jaki człowiek! Zaraz na drugi dzień po moim odjeździe pisze mi list długi. Pisze w nim między innemi, abym tu został tak długo jak zechcę, abym został miesiąc, dwa lub trzy, a on za mnie będzie tam gorzelni i wołów pilnował... Co za poczciwy człowiek. Jest nawet coś dla ciebie. Każe ci powiedzieć że czyta poetów naszych, że z nimi w gorzelni siedzi a nawet między woły wchodzi!

— Zlituj się, to będą woły poetyczne! Stracą na wadze.

— Nie śmiéj się z zacnego człowieka!

— Ależ ja się nie śmieję... ot tak dla dowcipu powiedziało się.

— Powinnaś mu być wdzięczną, że tak o nas pamięta...

— Przyrzekam ci to... a nawet dopiszę się do twego listu, gdy go będziesz wysyłał.

— Dziękuję ci serdecznie... gdyby nie on...

— Jakże ci się podobał nasz hrabia Stella?

— Właśnie chciałem dzisiaj o nim z tobą pomówić.

— Słucham cię.

— Czy... czy on rzeczywiście... jest konkurentem do ręki pani Flaminii?

Eliza ruszyła głową i ramionami, a uśmiech dyplomatyczny przebiegł po jéj ruchliwéj twarzy.

— Tego widzisz tak na pewno powiedzieć nie można, odpowiedziała zwolna patrząc z uwagą na brata.

— Ale jak tobie się zdaje? niespokojnie zapytał Maryan.

Eliza uśmiechnęła się z pewnem zadowoleniem,

— On właściwie lawiruje dotąd między mną a Flaminią.

— Po cóż on tak lawiruje?

— Zdaje się, że jest mu z tem przyjemnie!

— Ale co sądzisz o Flaminii?

— Flaminii... jak dotąd... nie podobał się.

— Czy sądzisz że z czasem mógłby się podobać?

Eliza ruszyła ramionami.

— W sercach kobiecych odbywają się czasem dziwne przemiany. Zależy wiele od zbiegu okoliczności.

Na czole Maryana osiadła chmura.

— Czy mówiłaś kiedy o tem z Flaminią.

— Mówiłam nieraz. Dotąd jeszcze jest w jéj sercu wszelka szansa dla innego!

Twarz Maryana ożywiła się.

— Dziwnieby to bowiem wyglądało, zawołał

podniesionym głosem, gdyby zaraz tak zaufać pierwszemu lepszemu cudzoziemcowi, którego się wcale nie zna.

— Jest... Conte Stella.

— Co takie tytuły włoskie znaczą.

— Arystokracya ma wszędzie jedne i te same prawa.

— Et! Co tam z tych praw.

— Tak się zazwyczaj mówi, ale w gruncie przecież się tych praw i pewnych choćby towarzyskich przywilejów nie lekceważy.

— Dlaczegóż nie. Są ludzie którzy dzieciom swoim za grube pieniądze kupują takie mniemane przywileje. Sam znałem pewnego poczciwego zresztą szlachcica z podolskiéj ziemi, który za grube pieniądze polskie kupił sobie dla córki na zięcia gołego hrabiego włoskiego.

— Być może że hrabia Stella wietrzy u Flaminii gruby posag, jaki jéj niezawodnie zapisze babunia...

— Nic innego jak to! To obrzydliwe rzemiosło, polowania na posagi rozszerza się coraz więcéj. Osobliwie upadająca arystokracya chce się zasilać takim sposobem... notabene, aby to wszystko potem z dymem puścić. O przed takimi rycerzami trzeba się strzedz bardzo. A osobliwie nam trzeba téj ostrożności, bo kobiety nasze mają wielką słabość do świetnych niby maryażów za granicą, czem potem w sąsiedztwach swojéj parafii można imponować. Polki przedewszystkiem tak czynić nie powinny.

Maryan wyraźnie zapalał się coraz więcéj w swoich argumentach przeciw maryażom z arystokracyą zagraniczną, co słuchającéj z uśmiechem Elizie sprawiało widoczne zadowolenie. Ukrywała uśmiech jak mogła, aby bratu go nie okazać. Czytała dobrze w jego kartach zakrytych, ale nie chciała aby do jéj kart zaglądał. Na coś jednak musiała mu koniecznie odpowiedzieć.

— Słusznie powiadasz, rzekła z uśmiechem, że nasze kobiety kupują sobie czasem za grube polskie pieniądze gołych zagranicznych hrabiów na mężów. Twój przyjaciel pan Krzysztof powiedziałby że w takim razie koszta eksportu są większe od ceny importowanego szlachetnego bydła...

— I powiedziałby bardzo słusznie.

— Ale hrabia Stella jak się z wszystkiego okazuje, może być człowiekiem bardzo majętnym,

— Nie znam go ale w takim razie nie polowałby na pierwszą lepszą *forestierkę*.

— A miłości nie przypuszczasz?

Maryan zarumienił się.

— Mówiłaś przecież że Flaminia nie jest mu tak znowu życzliwa...

— Dotąd wcale nie. Wiem to z pewnością.

— Czy wie on o tem?

— Postarałam się o to, aby wiedział.

— I cóż on na to?

— Być może, że nie traci jeszczcze nadziei a tymczasem prawi mi niesłychane grzeczności. Gotowam wierzyć, że w końcu mnie się oświadczy.

Maryan posmutniał.

— Toby źle było, bardzo źle, odparł szybko.

— Zależałoby to od wielu okoliczności.

— Na co się awanturować.

— Jeżeli awantura nie jest zła, nazywa się wtedy la bonne awanture.

— Bawisz się dowcipem gdzie na seryo trzeba myśléć.

— Wszak tobie nie przeszkadzam myśléć na seryo, a nawet zachęcam cię do tego. A co do mnie...

— Wiem, że masz rozum dla siebie, ale zawsze rzecz dziwna że mimo nieprzychylności Flaminii bywa tak często i daje jéj bukiety!

— Co do tego, muszę cię trochę uspokoić. Jest zwyczaj że mieszkańcy tutejsi bardzo cudzoziemcom nadskakują osobliwie kobietom. Jest to niejako gościnność z ich strony, do jakiéj czują się względem gości swoich zobowiązani. Niech się tylko w towarzystwie jakiem cudzoziemka pokaże a natychmiast otoczą ją dziesięciu *cavaliere servente*. Przychodzą zaraz z wizytą, bawią, robią różne usługi i zadowoleni są z tego. Nietylko młodzi, ale nawet starzy, ludzie o siwych włosach i łysych głowach zaciągają się do takiéj służby. Leży to już w zwyczajach i obyczajach narodowych.

Maryan zamyślił się.

— Dla tego nic na to nie zważaj, mówiła dalej mądra Eliza. jeżeli z hrabią Stella często się spotkasz, byleś się tylko tam nie spotkał, gdzieby ci to mogło pewną boleść sprawić. A to już więcéj od ciebie niżeli od niego zależy.

Na tem skończyła się pierwsza rodzeństwa konferencya.

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Paweł zostawił panów tych żywo zajętych rozmową nad szczegółami nowych planów, a sam udał się na pokład by na świeżem powietrzu ochłodzić głowę, którą opowiadanie kapitana i grog marynarski zanadto rozgrzały. Ten sam obraz który dnia pewnego widział już raz na „Orle“ znowu oczom się jego przedstawił; ale jakże innym, jak bardzo odmiennym! Wówczas z błękitnego nieba wesoło uśmiechało się słońce do fal niebieskich, a w tem jasnem słońcu błyszczało, lśniło się wszystko, począwszy od mosiężnych okuć koła przy sterze, aż do ogorzałych twarzy robotników, i tylko stara kuźnia baggeru wyglądała ponuro, jakby już dla niéj żadna radość nie istniała na świecie. Dzisiejsza słota widocznie zaraziła wszystko chroniczną swoją melancholią; niebo, morze, ludzie i okręty, wszystko wyglądało tak szaro, ponuro i nieznośnie, że Paweł pojął iż stanowisko komendanta baggerflotyli które wówczas tak mu się godnem zazdrości wydawało, miewa także ciemne swoje strony. Ogarnęła go nieopisana tęsknota za Nedurem, przyniósł ogromną perspektywę która na postumencie pod daszkiem przy schodach spoczywała, by tak jak owego pierwszego ranka, jak najwięcéj do wyspy się zbliżyć. Teraz już dlań obcą nie była, teraz znał każdy z kamieni nadbrzeżnych, teraz rozpoznał łódź przy któréj stał niegdyś i rozmawiał z Heddą.

W każde okno domku o czerwonym dachu, patrzył jak w dobrze znane przyjacielsko uśmiechnięte oblicze. Drzwi szklanne były otwarte, i widział wyraźnie jak Hedda wyszła i doniczki z kwiatami ustawiała na kamiennéj poręczy schodów prowadzących do ogródka, gdzie z piasku wyzierały piękne różnobarwne muszle. Ale wiatr musiał wywracać doniczki, bo wkrótce wniosła je do pokoju i znikła. Paweł powiewał chustką i przykro mu było że Hedda nie oddaje pozdrowienia, chociaż wiedział, że w téj odległości i w dzień tak mglisty, pomimo jéj sokolego wzroku, gołem okiem niepodobna rozróżnić pojedynczych przedmiotów na „Orle.“

Zaledwo parę godzin minęło jak Paweł nie słyszał wesołego śmiechu Heddy i nie patrzał w jéj ciemne, zawsze jeszcze zagadkowe oczy, a już ten krótki przeciąg czasu wydał mu się długim, bardzo długim! To też ucieszył się serdecznie gdy nakoniec robota zawieszoną została, a robotnicy z baggeru, promów i łodzi, zebrali się na pokład „*Orla*“ by otrzymać tygodniową zapłatę. Po południu nie miano już rozpoczynać robót, gdyż powietrze co chwila stawało się przykrzejsze, a że dzień następny był niedzielą, więc te pół dnia darowano robotnikom. Paweł z wielkiem zajęciem spoglądał na ten szczególny orszak; dzieci morza nigdy jeszcze w takiéj nie widział liczbie, oczów jego nie uszły ich oblicza bystre, marsowate, niektóre piękne nawet twarze, i uważał wszystkim prawie właściwe mrużenie oczu, i szept cichy którym rozmawiali z sobą.

Następnie zszedł do kajuty na dół; Gustaw i płatnik siedzieli przy stole założonym papierami a komendant spoglądał na nich ze spokojnym przyjacielskim uśmiechem. I przyglądał się Paweł jak kolejno wchodzili robotnicy; każdy z nich we drzwiach kajuty z uszanowaniem szurgnął nogami, niejeden bosemi nawet, i swój kapelusz lub czapkę położywszy na ziemi zbliżał się do stołu, by tygodniową płacę w spracowane, spalone otrzymać ręce. Przede wszystkiem zajmowały Pawła krótkie rozmowy Gustawa z robotnikami, które były dowodem dobrego stosunku pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnymi i odkrył mu nie jeden szczegół z życia tych ludzi.

— Jakże się masz Zander? zapytał Gustaw małego starego człowieczka, którego roztropny, poważny wyraz twarzy już na pokładzie zwrócił był uwagę Pawła.

— Dziękuję, jako tako panie inspektorze.

— Czy masz wiadomość od chłopca?

— Nie mam, panie inspektorze.

— Jak dawno Marya-Karolina wypłynęła z New-Yorku?

— Całe trzy miesiące, widzę że już nie ma nadziei! Paweł spojrzał na komendanta, ten jednak nie podnosił oczu. Już nie ma nadziei, pomyślał Paweł.

— Czy dużo masz jeszcze dzieci? zapytał Gustaw.

— Sześcioro; dwóch chłopców i cztery dziewczęta. Najstarszy jeszcze tego roku wyjdzie z domu.

— Zander, od przyszłego tygodnia kierować będziecie drugim promem. Robotę rozumiecie lepiéj od innych, a lepsza robota lepiéj płatną być musi.

— Dziękuję panu inspektorowi, rzekł stary i do drzwi się zwrócił.

Z kolei nadszedł wysoki, smukły, dziewiętnastoletni chłopiec, z głową tak piękną że gdyby była na ramionach jakiego dandysa w loży opery, wszystkie lornetki pięknych pań na siebie by zwróciła, gęste kręcone włosy otaczały twarz młodą, kwitnącą zdrowiem a niebieskie oczy błyszczały z pod rzęs ciemnych.

— Chciałbym prosić pana inspektora o uwolnienie aż do środy, rzekł chłopak zgarnąwszy pieniądze i zamiast podpisu pokwitowawszy trzema krzyżykami.

— A ty co myślisz robić przez ten czas Lachmundzie? zapytał Gustaw.

Piękny chłopak nieśmiało spojrzał na niego i rzekł: chciałbym wyprawić moje wesele.

— Jesteś nierozsądnym Lachmundzie! śmiało mógłbyś parę lat poczekać.

— Chętniebym czekał, odpowiedział Lachmund

w zamyśleniu drapiąc się w głowę „ale Jetta czekać nie chce.

— Ależ na prawdę za młody jesteś.

— Wczesnego ożenienia i rannego wstania nikt jeszcze nie żałował panie inspektorze.

— Zapewne, lepiéj się żenić za młodo jak za staro, rzekł Gustaw i dodał: no, to pozdrów Jettę, a w ciągu roku zaproście mnie na kuma.

Lachmund wyszeptał coś przez zęby z czego tylko wyrazy: „jeszcze w tym roku“ zrozumiéć można było.

— Jesteś prawdziwym zuchem! sprawiaj się dobrze a kto wie może cię zrobię drugim sternikiem na kutterze: gospodarka poszłaby wam łatwiéj, mówił Gustaw, podczas gdy Paweł śmiał się głośno, płatnik zatopiony w rachunkach chichotał, a komendant uśmiechał się z dobrocią.

— Dziękuję panie inspektorze rzekł uszczęśliwiony chłopak i wybiegł z kajuty.

— Czy ten śmiałek, który tak odważnie bierze życie na silne swoje ramiona, czy i on także po latach dwudziestu podobnie jak poprzednio ten stary, będzie miał takie smutne oczy i troską zorane czoło? zapytał Paweł.

— O! to bardzo możliwe, odrzekł Gustaw i potarł ręką czoło i oczy.

Wypłatę skończono; robotnicy, po części mieszkańcy sąsiednich wsi nadbrzeżnych, odpłynęli na swoich łodziach, pozostała tylko załoga okrętów i baggeru. Zebrani w kajucie gotowali się do wyjazdu.

— Co prawda wolałbym pozostać, nowa robota bardzo jest pilną, a wy beze mnie obejdziecie się łatwo, mówił Gustaw, i tylko usilne nalegania drugich zdołały go nakłonić, a głównie gdy mu Paweł powiedział że Klementyna bardzo widziéć go pragnie i że to wyraźnem jest jéj życzeniem.

Przepływali około kuźni; wskutek ciężkiego powietrza czarny dym nie mogąc się wznieść do góry, ciągnął po nad ich głowami.

— Miejcie baczenie by ogień na ognisku dobrze wygasić, zawołał Gustaw do brodatego maszynisty.

— Czyż ta stara szkatuła miałaby jeszcze tyle młodzieńczego ognia, by wpaść na myśl heroiczną skrócenia sobie smutnego życia śmiercią na stosie? wesoło zapytał Paweł.

— Sądzę że nie, odpowiedział Gustaw, ale temi dniami ciągle mam przeczucia grożącego nieszczęścia.

— Oto są skutki niepogody i samotności! odezwał płatnik otulając się bardziéj w swój płaszcz granatowy.

I rzeczywiście czas był okropny; jeden tylko papa Walter uśmiechnięty i zadowolniony jak zwykle siedział przy sterze a każdą falę która rozbiwszy się o bok łodzi, okrywała siedzących mgłą słonéj piany, witał jak dawną dobrą znajomą. Przytem i drobny deszcz padał bezustannie, ów deszcz na pozór niewinny, ale który do nitki przemoczy zanim się człowiek spostrzeże.

Paweł zaczynał się niecierpliwić, lecz gdy pomyślał o rozpaczliwem położeniu kapitana i jego załogi na skale podwodnéj przy wybrzeżu Wales, znosił swój los cierpliwie, a gdy przybili do brzegu i łódź trzeszcząc wryła się w piasek, tak uradowany na ląd wyskoczył jak gdyby po długiem bardzo oddaleniu powitał znowu ziemię ojczystą.

Rozdział XV.

Po dniu posępnym, deszczowym, wietrznym, nadszedł wieczór, wieczór ciemny, burzliwy, dżdżysty. Dzisiaj wcześniéj niż zwykle zabłysło światło w latarni morskiéj i w domu komendanta. Towarzystwo całe zebrało się w ogrodowéj sali, ale drzwi prowadzące do muszlowego ogródka zamknięte były, okna pozasłaniane, a po wieczerzy oświadczył komendant, że dzisiaj musi być poncz, mocniejszy niż zwykle. Ze względu na starego płatnika z miasta, który lubił partyjkę wieczorem, na środku sali przyrządzono stolik do wista, do którego zasiedli wkrótce: płatnik, Gustaw i pan von Elze, podczas gdy Klementyna którą zajmowały wszystkie gry kartowe, czemu się Hedda wydziwić nie mogła, przysuwała się kolejno to do jednego, to do drugiego z grających.

Komendant zajął miejsce w rogu sofy przy stole i warzył swój poncz ulubiony, Hedda w drugim końcu salonu siedząc przy fortepianie, fantazyowała w pół głośno, a Paweł chociaż niezbyt sprawiedliwie, dzielił uwagę swoją między nią a komendanta. Właśnie teraz pod pozorem podania jéj szklanki ponczu, zbliżył się do fortepianu i obok niéj usiadł, tak że jednocześnie patrzał na nią i widział co się w sali dzieje. Ona, oparła się o poręcz swego krzesła i wszczęła się między niemi jedna z tych poufnych rozmów, które jedynie półgłosem i w na wpół ciemnym kątku salonu prowadzić się dają, a mają tyle uroku wtedy, gdy w jednem lub w obojgu z szepczących, tajemna skłonność serca budzić się zaczyna.

Do tego od wczoraj łączyła ich jedna wspólna myśl więcéj; może pragnęli sami o sobie i własnym stosunku zapomniéć, podczas gdy całą swoją uwagę na drugich i na stosunki ich zwracali, nie myśląc o tem że najłatwiejszy sposób zbliżenia się dwojga ludzi, jest wspólne dążenie do jednego celu. Nie umawiając się wcale Hedda i Paweł działali tak jakby poprzednio umówieni, dobre swoje duchy wezwali do walki przeciwko złym, które widocznie za panować chciały, nad niektóremi osobami z ich grona. Dla badawczego oka, pierwsze już spotkanie Gustawa z Klementyną miało coś w sobie przykrego.

Klementyna wyszedłszy ze swego pokoju, w sieni spotkała panów którzy dopiero co weszli: wbrew swemu zwyczajowi z pocałunkiem na ustach zbliżyła się do męża: pozwól mi pierwéj zrucić mój płaszcz, rzekł tenże i zapewne w téj tylko myśli by żony nie powitać w mokrem odzieniu; ona jednak odwróciła się, urażona widocznie, a gdy w tejże saméj chwili wyszła z ogrodowéj sali dziewczyna niosąc dziecko na ręku, Gustaw żywo zwrócił się do swojego pieszczocha. Czy nie zdejmiesz pierwéj płaszcza Gustawie? rzekła, dziecko łatwiéj jak ja zaziębić się może!

Ta uwaga nie przyczyniła się wcale do lepszego humoru Gustawa. Pomimo obecności gościa i pomimo usilnych starań Heddy i Pawła dla ożywienia rozmowy, obiad był bardzo milczący. Czy nie posłano po pana von Elze? spytała Klementyna siadając do stołu, gdyż porucznik częściéj jadał w domu komendanta aniżeli u siebie, zwłaszcza gdy byli goście nigdy go nie brakowało. I owszem odpowiedziała Hedda, ale dziś rano odpłynął i dopiero ku wieczorowi powróci. Na te słowa Paweł widział jak Gustaw przygryzł wargi, a u niego było to znakiem niezadowolnienia, w duszy więc pomyślał: po co Klementyna wszczynała tę kwestyą? Poobiednie godziny nudno i powoli schodziły; wiadomo jak Klementyna dużo snu potrzebowała i czas jakiś po obiedzie spędzała zawsze w swoim pokoju. Dzisiaj godzina za godziną schodziła a ona nie powracała, a gdy się o nią pytano, służąca odpowiadała jedno i toż samo: „pani śpi jeszcze.“ Gdyby wiedziano że Klementyna noc całą czuwała przy dziecku, nie dziwionoby się téj tak długiéj drzémce, ale swoim zwyczajem nie powiedziała o tem nikomu, to też nie można się było dziwić goryczy z jaką rzekł Gustaw do Pawła: widocznie, obecność moją uważa żona za dogodną sposobność, dla wyspania się za wszystkie czasy.“ Zaledwie Hedda spostrzegła że Gustaw niecierpliwić się zaczyna, skarżąc się na znużenie, opuściła salon i powróciła dopiero wieczorem długo po przyjściu Klementyny.

— Na Boga! co tam pani tak długo na górze robiła? spytał ją Paweł w ciągu rozmowy. „Nudziłam się okropnie sąsiedzie i nakoniec z nudów usnęłam naprawdę; ale sądziłam że gdy i mnie tu nie będzie, nieobecność Klementyny mniéj wyda się rażącą i z tego to powodu dla bogini Zgody tę skromną zrobiłam ofiarę.

— I zdaje się że bogini przyjęła ją łaskawie, bo oto w największéj zgodzie siedzą przy nudnym swoim wiście i widzę po pierwszy raz w życiu że i gra w karty na coś dobrego przydać się może. Już wszystko będzie dobrze, Gustaw obiecał dzień jutrzejszy przepędzić z nami, a o ile słyszę pan von Elze za tydzień pożegna wyspę, tak jak i ja.“ Czy to być może! z przerażeniem zawołała Hedda, czy być może abyś nas pan tak prędko opuszczał? Przynajmniéj nie wyjeżdżaj pan przed panem von Elze.“ „To przyrzekam pani!“ „No to dajże mi pan rękę!“ „Oto jest!“

W tejże chwili z domku strażnika doszedł ich silny kilkakrotny odgłos dzwonu.

— Co to ma znaczyć? zapytał Paweł. Okręt w niebezpieczeństwie! odrzekła Hedda.

Grający rzucili karty, komendant wysunął się z za wazy ponczu, wszyscy rzucili się ku drzwiom szklanym. Była to noc zimna, bez gwiazd i księżyca, zaledwo biały piasek wybrzeży rozróżnić można było od ciemnych wód powierzchni.

— I co tu kto zobaczy! zawołała Hedda.

W tejże chwili wprost przed niemi zabłysnął czerwony słup płomieni i zniknął natychmiast. Bagger się pali! zawołał Gustaw. Nie! bagger więcéj na zachód... to kuźnia! rzekł komendant.

Znowu zabłysnął płomień i z każdą chwilą stawał się większy i jaśniejszy.

— Łódź, łódź czem prędzéj! wołał Gustaw. Tylko spokojnie! przestrzegał komendant, jeżeli straż baggeru tak niedbała jak straż kuźni, to pierwsi będziemy na miejscu. Zabierzcie topory i świdry! zawołał do ludzi dążących na wybrzeże, by co prędzéj łodzie w morze zsunąć. Jeżeli kuźnia zerwie się z kotwicy spali się wszystko! zawołał Gustaw.

— Broń Boże! odrzekł komendant, wiatr jest zachodnio-północno-zachodni, i przypędzi je tutaj w przeciwną stronę okrętom.

Podczas gdy w zamieszaniu wszyscy razem mówili, Klementyna wyszła spiesznie po płaszcze i czapki dla męża i komendanta, a gdy Gustaw od drzwi się odwrócił stała przed nim trzymając jego rzeczy. Oto korzyści z waszych zaprosin! czemu nie zostawiliście mnie w spokoju? rzekł Gustaw z goryczą. Włóż płaszcz! rzekła Klementyna blednąc. I na co zda mi się płaszcz przemokły? gniewnie zawołał Gustaw. Kazałam go wysuszyć. To go daj! zawołał, i pospieszył bez słowa podzięki lub pożegnania. Weźcie mnie z sobą! wołał Paweł szukając czapki po wszystkich kątach. Już za późno! rzekła Hedda, właśnie od brzegu odbijają łodzie.

W rogu sofy usiadła Klementyna i zamyślona wsparła głowę na ręku. Pan von Elze podczas téj całéj sceny zaledwo się odzywał, teraz przystąpił do stołu i szklankę swoją ponczem napełnił. Nieznośne zimno! rzekł wstrząsając się, myślę że można już drzwi zamknąć, przez okna zarówno dobrze widziéć będziemy. Kto pójdzie ze mną do domku strażnika? zawołała Hedda, w najwyższym będącą

niepokoju. Klementyna ani się poruszyła. „Zaziębisz się pani“ rzekł pan von Elze spokojnie wychylając napełnioną szklankę. Sąsiedzie, czy idziesz ze mną? niecierpliwie spytała Hedda. Służę pani! i przez muszlowy ogródek pospieszyli na brzeg zaspy na której wierzchu stał domek strażnika. Światło latarni tak mnie olśniewa że nic a nic nie widzę, rzekł Paweł którego nogi plątały się co chwila w trawach nadmorskich. Daj mi pan rękę: ja znam tu ścieżkę każdą! zawołała Hedda; i tak trzymając się za ręce, biegnąc prawie bez tchu stanęli na górze. Na straży stał stary sternik ten sam co przed kilku dniami przewoził ich do mogił Hunnów. Rickmanie! czy można jeszcze kuźnię uratować? spytała Hedda.

— I cóż to pomoże? odrzekł stary, wszakże raz musi się kiedyś rozbić aloo spalić! A to dlaczego? wtrącił Paweł.

— Więc pan nie wie, że niegdyś kuźnia była okrętem przewożącym niewolników, a okręt taki wcześniéj czy późniéj zatonąć musi, a czem wcześniéj tem i lepiéj. Czy są ludzie na kuźni? Właśnie odbijają, i na Boga, czas już wielki! Płomień ogarnął skład węgla! mówił stary sternik, patrząc przez nocną lunetę. I rzeczywiście tak być musiało, gdyż naraz silniejszy płomień wybuchnął, i w mgnieniu oka ogień ogarnął okręt od końca do końca; olbrzymi, iskrzący słup dymu wznosił się w górę i niknął w ciemności. Z płonącéj masy aż do Neduru ciągnęła się jasna smuga po wód powierzchni; właśnie teraz płynęły po niéj obie łodzie i wyraźnie dojrzéć można było szybkie, regularne uderzenia wioseł. Światło płomieni było tak silne że oddalone nawet wybrzeże wielkiéj wyspy na chwilę z ciemności się wydobyło, a Nedur wydawał się tak, jakby nań wśród dnia przez szkło zamglone patrzano. Hedda i Paweł stali przed chatą strażnika w milczeniu patrząc na ten wspaniały a pełen grozy widok.

— Sąsiadko, jakże bladą jesteś! rzekł Paweł po chwili a głos jego drżał, i z gołą głową bez okrycia, ręce pani jak lód są zimne! jakże mogłem na to pozwolić, wracajmy, wracajmy prędko! Hedda nie odpowiadając, ciągle patrzyła na niego. Nieprzezorna, nieposłuszna pani, dlaczego tak patrzysz się na mnie? Gniewaj się pan jeszcze trochę, chętnie słucham tego! odrzekła nie spuszczając z niego swych oczu błyszczących. O! jakże on pragnął w téj chwili przycisnąć do serca wysmukłą kibić dziewczyny, usta swe do jéj ust przybliżyć, ale panując nad sobą odrzekł z uśmiechem: Będę się gniewał ile pani zechcesz, ale pierwéj wejdź pani do domu! A więc chodźmy, dobranoc Rickmanie! zawołała i chociaż ścieżka prowadząca na dół była teraz już oświetloną, z dłoni jego nie wysunęła ręki, aż gdy stanęli u drzwi ogrodowéj sali.

Gdy weszli zastali pana von Elze samego. Żywo obrócił się ku nim; twarz jego zwykły miała wyraz, ale oczy błyszczały owem zimnem jemu tylko właściwem światłem, które znał już Paweł od chwili spędzonego wieczoru na mogiłach Hunów. Gdzie Klementyna? spytała Hedda. Tu coś zajść musiało, w duszy pomyślał Paweł.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Niemiec.

Srebrne wesele cesarza Franciszka i cesarzowéj Elżbiety. Ogólna nędza i podwyższenie podatków w cesarstwie niemieckiem. Nowa taryfa celna. O wpływie kolei żelaznych na wyludnianie wsi. Ruch wydawniczy w Niemczech. Dzieło Scher'a o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. „Dawne i nowe czasy“ ostatnie dzieło Fryderyka von Weech. „Traktaty dyplomatyczne z czasów rewolucyi francuzkiéj“ p. Hermana Hüffer. „Podróż po Oceanie spokojnym“ Maksa Buchner'a. „Wrażenie z podróży na około świata“ p. kapitana Freiherr. Gustawa Freytag ostatni utwór, p. n. „Les Grandidiers.“ Wilhelma Jensen romans historyczny p. n. „Za tron cesarski.“ Człowiek przedhistoryczny w krajach północnych i w Polsce. P. Starks „Archéologia sztuki.“ Nowy dramat pięcio aktowy Gustawa Pullitz p. n. „Rolf Berndt. Sztuczka jednoaktowa Auerbacha p. n. „Szczególniejsza kobieta.“

(Dalszy ciąg).

Tegoż dnia dany był obiad dworski, na który zebrała się w Burgu cała rodzina cesarska, kardynał arcybiskup i parę biskupów, gdyż duchowieństwo zapraszane tu bywa zawsze na wszelkie uroczystości dworskie, czy to rodzinne czy oficyalne. Każdy z członków rodziny ofiarował jakiś upominek, odznaczający się nie tyle kosztownością jak pomysłem lub wartością artystyczną. Następca tronu ofiarował rodzicom cztery obrazy pendzla Rudolfa Alta, przedstawiające dzieje odnoszące się do ich pożycia. Pierwszy przedstawia zamek Possenhofem, w którym cesarzowa Elżbieta ujrzała światło dzienne; drugi wnętrze kościoła Augustynów w którym odbył się ślub cesarskiéj pary d. 24 kwietnia 1854 r. trzeci pałac Luxenburski w którym urodził się dzisiejszy następca tronu 21 sierpnia 1858 r. czwarty zamek stanowiący rezydencya cesarstwa w Budzie. Domy należące do rodziny w ogóle ofiarowały własne roboty.

Wieczorem dnia tego było dworskie przedstawienie w teatrze opery. Boczne loże zajęła rodzina cesarska, amfiteatr damy dworu i najznakomitsza arystokracya; w krzesłach i na parterze dygnitarze deputowani i mała garstka zaproszonych. Panie lśniły się od brylantów i drogich kamieni, panowie od gwiazd, orderów, złoconych mundurów. Prześlicznie odbijały wspaniałe narodowe stroje, dolmany i kontusze. Same guziki brylantowe przy żupanie hr. Romana Potockiego, oceniono na półtora miliona guldenów.

W głównéj loży w pośrodku siedziała cesarzowa ubrana w suknię jasno perłowego koloru, pokrytą przepysznemi koronkami; na głowie miała brylantowy diadem, przy gorsie bukieck świeżych fiołków. Cesarzowa Elżbieta zawsze piękna i urocza wyglądała prześlicznie i nadzwyczaj młodo. Po prawéj stronie siedział cesarz, po drugiéj arcyksiężniczki, za niemi arcyksiążęta.

Widowisko rozpoczęło się utworem Ferdynanda von Saar, napisanéj na tę uroczystość. Jest to jeden akt tylko, z pewną tendencyą polityczną, napisany białym wierszem. Artystka przedstawiająca Austryą deklamuje o wielkiéj uroczystości tak świetnie obchodzonego jubileuszu i o zbrataniu ludów zostających pod berłem Franciszka Józefa, które niegdyś taką ku sobie tchnęły nienawiścią. Wymieniała Niemców, Węgrów, Czechów, Polaków i t. d. Żywe obrazy przedstawiały: Małżeństwo Ferdynanda i Maryi wnuków Cesarza Maxymiliara I z Ludwikiem i Anną dziećmi Władysława króla czeskiego i węgierskiego, daléj króla polskiego Zygmunta I, z jego dworem. Drugą część widowiska stanowiły tańce narodowe i śpiewy wszystkich ludów składających monarchią austryacką. Bardzo się podobał mazur w pięknych narodowych strojach wykonany. Zakończyła widowisko ostatnia scena z opery Wagnera „Die Meistersinger“ ta jednak nie dorówała powyższym, było to cośjakby rozgorączkowanych oblać zimną wodą.

W sobotę wieczorem komitet ogłosił przez plakaty, że odkładany z powodu niepogody pochód uroczysty, odbędzie się nazajutrz, o 9 éj rano.

Zaledwie zadniało tłumy ludu zapełniły ulice, ciągnąc na prater zkąd pochód miał wyruszyć i gdzie zbierały się malownicze gruppy postaci jakby zmartwychwstałych z wieków średnich. O ósméj rano byli już gotowi wszyscy mający przyjąć udział w pochodzie, który obmyślił i ugruppował słynny malarz wiedeński Mackart; sam także wraz z córką przyjął w nim udział. On ucharakteryzował się jako Rubens; na głowie miał tradycyjny kapelusz z dużem rondem i wielkim piórem, na ramiona zarzucił jasno granatowy płaszczyk aksamitny, na nogach palone buty, rękawice haftowane złotem; koń jego pokryty był aż prawie do ziemi złotolitym czaprakiem, córka jego przedstawiała jedną z dziewięciu muz. Jak wódz wojsko przed bitwą, tak Mackart wszystkie gruppy oglądał, szykował i dopiero przekonawszy się że wszystko jest tak jak pragnął, dał znak do wymarszu o saméj dziewiątéj.

Rozpoczynały pochód deputacye studentów wyższych zakładów naukowych i stowarzyszenia studenckie przystrojone w swoje szarfy, czapki i godła było ich blisko 2000. Za nimi deputacye różnych cechów rzemieślniczych z właściwemi sztandarami. Z kolei następowały ukostiumowane gruppy, których ukazanie się wywołało ogólny okrzyk uwielbienia. Najpierwszą była gruppa myśliwych, którą składali panowie, górale tyrolscy i styryjscy, w malowniczym swoim stroju, sokolnicy, dojeżdżacze i t. d. oraz wozy zapełnione zwierzyną, przystrojone krzewami i kwiatami. Za nimi ukazywali się ogrodnicy a wśród nich nadzwyczaj wysoki wóz pełen kwiatów i exotycznych roślin, na którym siedziały prześliczne ogrodniczki, orszak królowy Flory. Daléj hufiec górników ze swoją muzyką, otaczając wóz lśniący od drogich kamieni, na którym przedstawione były pieczary podziemne, pokłady kruszczów i węgla po nad którémi wznosił się tron ich królowéj, odzianéj płaszczem przetykanym węglem, ale skrystalizowanym, to jest diamentami. Tu znowu szklarze, optycy, piekarze, młynarze, rzeźnicy, na których wozy pełne przysmaków, zwracały się oczy tysięcy wygłodzonych widzów, oczekujących od świtu. Zwracała także uwagę gruppa drukarzy ze swemi godłami i najstarszym z żyjących wiedeńskich drukarzy, w stroju Guttenberga, *uważanego* dotąd za wynalazcę *druku*. Mówię „uważanego“ bo obecnie pan von der Linde wydał dzieło, w którem dowodnie zaprzecza temu twierdzeniu. Czerpiąc z najautentyczniejszych źródeł i dokumentów z owéj epoki, podaje wyczerpującą biografię człowieka, którego potomność uczciła pomnikiem w Strasburgu, w któréj wykazuje, niezbitemi dowodami, że druk pierwéj już był znany. Ale wróćmy do wozu drukarskiego; otóż umieszczona na nim była pośpieszna prassa drukarska, odbijająca starodawnym drukiem i na starym papierze wiersz ułożony na tę uroczystość, który zaraz rozdawano zebranym tłumom. Niepodobna w ramach korespondencyi opisać wszystkich grup w których przyjmowało udział kilka tysięcy osób, wspomnę więc tylko najciekawsze. W układaniu i kostiumowaniu grup, Mackart posiłkował się głównie dziełem Alberta Dürera, ale te żadnego nie mogły dostarczyć wątku do ukostiumowania marynarzy z parowców Lloyd'a lub mechaników kolei żelaznych, tu Mackart uciekł się jedynie do swéj bujnéj wyobraźni i wzbudził podziw i zdumienie widzów. Na wspaniałym wozie wznosiła się kolosalna arka z allegorycznemi grupami wyobrażającemi królestwo ognia biegnące w przestrzeń w rozchukanym pędzie. Pół czarne, pół czerwone postacie, przedstawiały mechaników i palaczy kolejowych, a wyglą

dały tak jakoś fantastycznie jakby piekło wyzionęło ich ze swéj paszczy. Środek wozu zajmowało sześć pięknych dziewic z najznakomitszych rodzin mieszczańskich, przedstawiających sześć prowincyi cesarstwa, Austryą, Czechy, Morawię, Galicyę, Szlązk i Styryę. Marynarze „Lloyda" przybrani byli w strój szafirowy z białem, a jeden w drugiego byli dorodni i piękni. Szli z wiosłami na ramionach, nader malowniczy przedstawiając widok. W pośród nich toczył się wóz z olbrzymim złotym okrętem, kołyszącym się jakby go morskie poruszały fale. Na pokładzie wznosiły się postacie Austryi i Węgier otoczone orszakiem niewiast z najodleglejszych stron świata, do których dopływają statki „Lloyd'a," a wszystkie miały na sobie strój narodowy.

Zamykała pochód gruppa przedstawicieli sztuki, któremu przewodniczył Mackart w stroju Rubensa; inni artyści okazywali się już to konno już pieszo, a na wozie przybranym z nadzwyczajnym przepychem, na którym były trony pokryte szkarłatem, córki i żony kapłanów sztuki, przedstawiały dziewięć muz.

Na zakończenie przedstawiało się górskie polowanie, w którym Tyrol i Styrya mogły uwidocznić bogate skarby swéj pięknéj przyrody. W polowaniu tém przyjęła także udział młodzież należąca do najznakomitszéj arystokracyi, któréj przewodniczył hrabia Lichnowski. Cały orszak składał się z przeszło pięciuset osób. Cała uroczystość trwała około trzech godzin.

Cesarstwo, dostojna ich rodzina, znakomici dyplomaci zarówno z kilkuset tysięcznym tłumem z widocznem zadowoleniem witali każdą gruppę. Cesarz był w bardzo wesołem usposobieniu, czuł że te hołdy różnoplemiennych poddanych ze szczerego wypływają przywiązania. To przywiązanie do dynastyi utrzymuje się nietylko tradycyą historyczną, ale jest także spojnikiem łączącym najróżnorodniejsze ludy wskład monarchii wchodzące, a wiele przyczynia się do niego patryarchalny niemal stosunek zachodzący między monarchą i ludami a nawet każdą jednostkę berłu jego podległą. W państwie konstytucyjnem zachował się stosunek jaki istniał jeszcze za rządów bezpośrednich, po części dzięki tradycyi silniejszéj, od ustaw pisanych a najgłówniéj dzięki osobistości Franciszka Józefa, który chciał utrzymać stosunek nie istniejący już w żadnem państwie europejskiem. Do dziś dnia w Austryi wolno jest najbiedniejszemu poddanemu udać się ze skargą lub prośbą w prost do swego cesarza, który nigdy nie odmawia słusznym i uzasadnionym prośbom.

Dzienniki urzędowe zaraz po ukończonéj uroczystości ogłosiły w swoim czasie serdeczne podziękowanie cesarza Franciszka Józefa za świetne owacye ludu w czasie srebrnego wesela. Zdaje się, że cesarz tym razem przekonany był o szczerości owacyi, w które dawniéj nie wierzył. W r. 1856 podczas świetnych uroczystości, wyprawianych na jego cześć w Medyolanie, gdy jeden z członków arystokracyi włoskiéj starał się przekonać cesarza, że jego rząd staje się coraz popularniejszy w kraju, Franciszek Józef odpowiedział: „*Cognosco la verita, sebbene imperatore!*" (znam prawdę, chociaż jestem cesarzem). Od tego czasu jednak przeszedł szkołę przeciwności, i nauczył się cenić wartość rządu liberalnego. Jeden z węgierskich mężów stanu, znany z dzielnego pióra i patryotyzmu, opowiadał ciekawą anegdotę, malującą charakter cesarza. Było to w r. 1867 podczas układów korony z Węgrami, gdy hr. Andrassy naówczas prosty poseł na sejm, złożył cesarzowi propozycye większości parlamentu węgierskiego. Cesarz uznał te propozycye za niesłychane: nikt jeszcze nie poważył się stawić mu nawet połowy takich żądań. Wtedy Andrassy natchniony szczęśliwą myślą odezwał się w te słowa: „Najjaśniejszy Panie! Widząc jak pracujesz dniem i nocą, jak sumiennie i szczerze pragniesz dobra swych ludów, nieraz zadaję sobie pytanie: dlaczego ten monarcha nie miałby używać popularności godnéj jego cnót? I nasuwała mi się taka odpowiedź: System absolutny odstręcza monarchę od jego ludu, który go nie zna." Cesarz słuchał, i z miną prawie melancholiczną rzekł: „A gdybym się zgodził dać wam, i innym czego chcecie, jakąż rękojmię pan mi dasz, że mój lud lepiéj mnie pozna? Rękojmi nie ma i nie może być w takich razach; lecz moje przekonanie silne i patryotyczne mówi mi, że jeżeli Najj. Panie wejdziesz na drogę prawdziwie liberalną, staniesz się najpopularniejszym monarchą w Europie. Przyjdzie dzień, że przypomnę tę chwilę Waszéj Ces. Mości. Przepowiednia hr. Andrassego sprawdziła się, a cesarz głęboko wzruszony objawami przywiązania swego ludu, po skończonych uroczystościach d. 27-go kwietnia zmieszał się z tłumem, nie zważając na etykietę dworską i przybywszy do ratusza m. Wiednia, gorąco za nie dziękował z trybuny.

W ostatnim numerze „Gołosa" w korespondencyi z Wiednia, znajdujemy taki ustęp:

„Podczas uroczystości srebrnego wesela cesarskiéj pary, przyjmowane były deputacye różnych krajów, jedna po drugiéj. W chwili, kiedy deputacya szlachty galicyjskiéj wychodziła z sali audencyonalnéj, spotkała się w jednéj z sal z deputacyą bośniaków i hercegowińców. Obie deputacye były w swoich narodowych kostiumach. Po zamienieniu ukłonów członkowie obu deputacyi zbliżyli się do siebie, podali sobie ręce i rozpoczęli rozmowę, jedni po polsku drudzy po serbsku. Okazało się, że mimo to mogą się zrozumieć, a nawet dłuższe rozmowy prowadzić bez tłomacza. Uniesienie nie miało granic. Obie deputacye zmieszały się z sobą i o mało co nie zapomniały o audencyi, z radości że znalazły tak blizkich pobratymców. Zaczęły się zapytania:

— Czy cesarz nic nie mówił że jesteście ubrani po polsku?

— Przeciwnie, był bardzo zadowolniony, bardzo łaskawie nas przyjął.

— A jakeście mówili, po niemiecku?

— Nie, po polsku.

— I my także będziemy po swojemu mówili po serbsku. My zawsze mówimy po serbsku z cesarzem. Czy on umie po polsku?

— Umie i mówi.

— Po serbsku także mówi trochę.

Wszystko zwiększało zadowolenie obecnych. Jedni ściskali się za ręce, drudzy się całowali, a w końcu rozchodząc się gorąco objawiali swoją radość że rozumieją siebie wzajemnie i mogą zachowywać swój język i narodowość.

— My powinniśmy być przyjaciołmi, powinniśmy pomagać jeden drugiemu, odezwał się któryś z polaków.

— Rozumie się, powinniśmy, podchwycili bośniacy; przecież my nie obcy. Jeżeli będziem w przyjaznych stosunkach, będzie nam razem lepiéj.

Że scenę tę uważano i zrozumiano jak nie potrzeba lepiéj, przekonywa fakt, że została ona następnie w całości opowiedziana w urzędowéj „Wiener Ztng."

Była i druga scena także bardzo charakterystyczna. Na balu dworskim, ban chorwacki Mazuranicz podszedł do grupy deputatów galicyjskich i zaczął rozmowę po polsku, wyrażając się zupełnie swobodnie i prawidłowo.

Nikt nigdy nie słyszał bana Mazuranicza, mówiącego innym językiem jak serbskim i niemieckim, zadziwienie więc było niemałe. Spostrzegłszy to ban rzekł: „Ja sądzę, że obecnie każden wykształcony słowianin powinien znać wszystkie główniejsze języki słowiańskie, a język polski niezaprzeczenie jest jednym z najważniejszych."

Któż z prawdziwych słowianofilów, słowian duszą i sercem, nie powtórzy z głębokiem uznaniem słów bana Mazuranicza! O ilebyśmy my rosyanie stali bliżéj celu, gdybyśmy szli za przykładem Mazuranicza! Co byłoby, gdybyśmy np. w miejsce języka greckiego, uczyli nasze dzieci głównych języków słowiańskich: polskiego, czeskiego, serbskiego i bulgarskiego?... Wszystkie one mają tak wiele wspólnego między sobą, że wyuczenie się ich jest daleko łatwiejsze aniżeli języka greckiego, a ileżby przyniosło korzyści, ileż usunęłoby nienawiści i jakby zbliżyło nas ze słowianami!...

Tak pisze „Gołos."

(*d. c. n.*)

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pa. Zochnie z nad Rucza. Kilka wierszyków z nadesłanych wydrukujemy, zachęcać jednak do dalszéj w tym kierunku pracy, nie możemy. W poezyi trzeba być koniecznie albo między przedniejszemi pracownikami, albo wcale wierszy nie pisać. Kto czuje że może uznanym talentom wyrównać, to zgoda, niech się rozwija, ale dla innych mniéj usposobionych to czas stracony, szkoda niczem niepowetowana.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 8 Мая 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 21, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Uśmiechnąłem się tryumfująco, przypominając sobie małą wczorajszą scenkę. Siedzieliśmy sami w naszej muzykalnéj ustroni; w przeciwnym rogu pokoju grano w karty sprzeczając się głośno. Ująłem dłonie Rozamundy, prawiąc jéj czułe słówka rozkochanego szalenie; ona nie usunęła rąk swoich, płomień lampy padający wprost ukazał mi mocne rumieńce jakie na twarz jéj wystąpiły i szepnęła mi słówko które uczyniło mnie najszczęśliwszym z ludzi.

„Bądź spokojny majorze, porozumieliśmy się; Rozamunda chce zostać moją żoną, potrzebujemy tylko twego zezwolenia. Mam nadzieję że nie masz nic przeciw temu, i chciałbym aby ślub odbył się jak najprędzéj. Nie ma potrzeby odwlekać, już od dwóch miesięcy jestem pełnoletni.“ Chciałem jak najprędzéj posiąść ów skarb nieoceniony. Było to szaleństwo jakiemu nie ma równego, byłem najzupełniejszym waryatem, inaczéj sam sobie nie umiem wytłomaczyć mego postępowania. Nikczemny oszust za opierał się niby z początku. Córka jego jeszcze za młoda, zresztą prawie się nie znamy, co powiedzą w Toronto? co na to powiedzą moi rodzice? lepiéj dać temu pokój a przynajmniéj odłożyć, ale ani chciałem słuchać. Co mnie tam obchodziło Toronto i co w niem gadać będą.. niech ich licho porwie! co zaś do rodziców moich, ci pragną tylko mojego szczęścia, ich zezwolenie nie ulega wątpliwości, mniejsza o to że nadejdzie po ślubie. A z resztą jeźli nam chodzi o ludzkie gadaniny, możemy wziąść ślub tajemny, a za miesiąc lub dwa, jak tylko będę mógł dostać urlop, zabiorę żonę i odpłyniemy do Anglii. Gdy rzecz ta stanie się już nieodwołalną, gadaniny i komentarze same przez się ucichną. Nie chcę odwłóczyć, mówiłem, muszę ja najprędzéj poślubić moją ukochaną, bo bez niéj życie stałoby mi się nieznośnym ciężarem etc. etc. Na samą o tem wzmiankę, serce mi się kraje, a jednak Lucyo, byłem bezmiernie, szalenie szczęśliwy! tem szczęściem bezgranicznem, zupełnem, jakie tylko w pięknych dniach młodzieńczego wieku i upojenia zaznać możemy.

„Pobraliśmy się. Rozamunda miała przyjaciółkę jakąś nauczycielkę muzyki, ta była druchną, drużbą zaś, przyjaciel mój Singleton. Ślub odbył się w salonie, cicho i skromnie. Tak pastor dający ślub jak obecni świadkowie, przyrzekli dochować tajemnicy. Rozamunda pozostała przy ojcu, ja zatrzymałem moje mieszkanie. Nie donosiłem rodzicom o mojem ożenieniu, gdyż podałem się o urlop, chcąc osobiście przedstawić im moją żonę. Byłem pewny że gdy tylko ją ujrzą, przebaczą mi mój pośpiech, a jéj nie dość znakomite urodzenie i ubóstwo.

„Mijały dnie, tygodnie, miesiące, a oczekiwany urlop nie nadchodził, tak upłynęło cztery miesiące. Jak było do przewidzenia, tajemnica nasza wyszła na jaw; w całem mieście gadano o mojem ożenieniu, i trzeba było być tak jak ja zaślepionym żeby nie widzieć z jakiem politowaniem, z jaką szyderską pogardą spoglądano na mnie. Nic nie widziałem, nie domyślałem się niczego, a gdy cios ugodził, spadł niespodziewanie jak piorun.

„Powiedziałem już że dziewczyna którą pojąłem za żonę, była doskonałą komedyantką. Usidliła mnie do nieuwierzenia; byłem przekonany że sercem i duszą należy do mnie. Gdym przychodził twarz jéj przybierała wyraz rozpromienienia; gdym odchodził zasępiał ją czarny smutek. Po czterech miesiącach pożycia, łudziła mnie równie doskonale jak w dzień ślubu. Dostrzegłem jednak iż troska jakaś tkwiła w jéj umyśle. Chwilami patrzyła na mnie z jakąś obawą, spoglądała na majora z przerażeniem. Stary oszust zaczął coraz więcéj oddawać się pijaństwu; od czasu mego ślubu parę razy zapadał śmiertelnie na *delirium tremens*, i jak się dowiedziałem później... po pijanemu drwił sobie z dokonanéj sztuczki. „A tośmy go złapali, mówił wtedy, a czkawka pijacka przerywała mu; mrugał ogłupiałemi oczami i uderzał się po obrzmiałych łytkach, a tośmy go złapali w pułapkę. A! jacy ci młodzi ludzie są głupi! najtęższego z nich byle ładna dziewczyna wywiedzie w pole. Spotykałem w życiu setki szaleńców, ale ani jednego tak głupiego jak ten Caryll... dopieroż się urządził!..“

„Nareszcie nadeszła chwila że sam major Lowell rozdarł zasłonę i wyjawił mi swój niecny podstęp. Przeziębił się po jednym ze strasznych swoich ataków, i szatański jego żywot miał się ku końcowi. Dostał śmiertelnego tyfusu dni jego były policzone. Mieszkająca jeszcze u niego Rozamunda, doglądała go bardzo troskliwie, nie dopuszczając mnie do niego o ile to było możebnem. „Gordonie, nie możesz mu nic pomódz, mówiła; zostań, nie chodź do niego, mógłbyś jeszcze przejąć jego chorobę, a potem on nikogo prócz mnie widzieć nie chce.“ Drżała z przestrachu na samą myśl że mogę wejść do pokoju majora; chciałaby była pozbyć się nawet garde malade i saméj czuwać przy nim. Prawie przemocą nie dozwalała mi wchodzić do pokoju chorego. On ciągle miał malignę majaczył, rozprawiał i zgrzytał zębami jak potępieniec. „Słuchaj, Caryll, ona boi się abym jéj nie wydał, szepnął mi raz do ucha, mrugając oczami. Ale, pal ją licho, zrobię to z pewnością... Nigdy wiele o nią nie dbałem, a byłby to dla mnie wstyd.. hańba... gdybym się wyniósł nie powiedziawszy prawdy... Jakiéj prawdy? zapytałem żywo.“ „Nic, nic Gordonie... dowiesz się zawsze za prędko... Jesteś w gorszem położeniu niż gdyby ci groziła szubienica, i żałuję... tak, żałuję bardzo... żem cię w niem postawił... Był to niecny podstęp, jakiego się dopuściłem względem uczciwego człowieka... ale sam przyznasz że był to zarazem wyborny fortel. Ale, sza! ona idzie; nie mów jéj ani słówka, powiem ci późniéj!“

„Nic nie rozumiejąc, uważałem to za wynik maligny; ona wszedłszy spoglądała z obawą to na mnie to na majora. „Czy mówił co? zapytała.“ Nie powiedziałem nic coby cię mogło niepokoić, Rozo, córko moja, rzekł uśmiechając się lekko. Nic coby się ciebie tyczyło; jeźli chcesz, zapytaj Gordona.“ Myślałem ciągle że mówi w gorączce. Kogo Pan Bóg chce skarać, odbiera mu rozum. Mój obłęd trwał cztery miesiące, teraz miała mi wrócić przytomność umysłu.

„Major był coraz słabszy; wyraźnie zbliżała się ostatnia jego godzina. O ile to było możliwem, Rozamunda go nie odstępowała, i wszelkich używała sposobów aby nam nie dozwolić rozmówić się z sobą... Później, dziwiłem się nieraz że nie przyśpieszyła jego końca, bo, o ile sądzę, zdolną byłaby to uczynić.

„Pewnego razu wyszedłem aby obiadować w mieście. Był to wieczór lutowy; śnieg pokrywał ulice; wiatr dął gwałtownie, zimno było przejmujące. Byłem jakiś znękany i rozstrojony. Nie mogłem pojąć czemu w ostatnich czasach żona moja bardzo była zmieniona; major był coraz gorzéj, prawie dogorywał. Coby robiła Rozamunda, sama jedna ze służącą, gdyby skończył podczas mojéj nieobecności, pomyślałem, i powróciłem zapominając o obiedzie. „Zastąpię moją ukochaną, zmuszę ją aby się położyła i przespała. Musi być bardzo znużona; sam czuwać będę przy chorym.“ Wszedłem po cichu do mieszkania. Sama tylko służąca czuwała w pokoju chorego; Rozamunda ulegając znużeniu zasnęła na krześle, i namówiono ją aby poszła spocząć w swoim pokoju. „Postąpiłaś bardzo roztropnie, rzekłem do służącéj, możesz i ty oddalić się także, ja cię zastąpię. Zdaje mi się że nie dożyje do rana“ Chory otworzył oczy, które do samego końca zachowały wyraz złośliwości. „Nie sądzisz Gordonie... nie sądzisz drogi przyjacielu, ażebym dożył do jutra? Ha! w takim razie czas użyć sercu. Gdzie ona jest... twoja żona? Śpi w swoim pokoju. Tem lepiéj; myszy wojują skoro kota nie czują. Odeślij tę kobietę do kuchni... chcę z tobą pomówić na osobności. Służąca wyszła. „Teraz zamknij drzwi i usiądź przy mnie; mam oddech krótki i nie tak mi łatwo mówić jak dawniéj. Tylko proszę cię, Gordonie, słuchaj mnie spokojnie, bez gwałtowności. Jestem starcem, jestem umierającym, i bardzo mi przykro... tak, niech mnie Bóg skarze jeżeli nie ubolewam nad tem szczerze... że cię tak oszukałem. Chcę to wynagrodzić o ile to jest jeszcze w méj mocy... Tak nakazuje słuszność. Teraz słuchaj mnie uważnie. Wszystko co ci powiedziałem było kłamstwem... kłamstwem od początku do końca. Rozamunda nie jest moją córką! Nie jest twoją... Nie jest moją córką... nie, na świętego Jerzego! Moja córka, ta o któréj słyszałeś dawniéj, jak była tak jest w Bermudach; jest to osoba strasznie sztywna i zacięta, zupełnie podobna do swéj nieboszczki matki, i nie chciałaby mieć żadnéj styczności ze swym starym i szanownym papą. Nie, mój dobry Gordonie, dziewczyna którą zaślubiłeś nie jest moją córką! i nietylko ja, ale ona sama nie umiałaby powiedzieć czyjem jest dziecięciem. Że jest twoją żoną, to na nieszczęście nie ulega żadnéj wątpliwości, ale ze mną żadne nie łączą ją stosunki.“ Słuchałem go odurzony, oniemiały, nie byłbym zdolny wyrzec jednego słowa choćby od tego zależało moje życie. Powiem ci zaraz, Gordonie, jak się to stało, mówił daléj stary potępieniec, tylko daj mi pierwéj pić...

tam stoi... kubek... Dziękuję. Spotkałem ją w Nowym-Yorku... na miesiąc przed tem jak tu przyjechała ze mną. Pewnego dnia wieczorem idąc przez Bowery wszedłem do kawiarni najniższego rzędu, gdzie występowały uliczne śpiewaczki. Próżniacy i włóczęgi z Bowery, z cygarami w ustach, w kapeluszach na głowie, wrzeszczeli, na pół leżąc na ławkach: Rozamunda!... Rozamunda!... chcąc aby powtórzyła jakąś piosneczkę. Odezwała się nędzna orkiestra, podniesiono kortynę i ukazała się Rozamunda, w jaskrawéj sukni przystrojonéj szychem, z gitarą w ręku, w ordynarnych sztucznych kwiatach na głowie, z uśmiechem na ustach, i przesłała swym słuchaczom od ust pocałunek. W taki to sposób, przysięgam ci na to, Caryll'u, zobaczyłem po raz pierwszy dziewczynę którą późniéj pojąłeś za żonę. Prześpiewała kilka piosneczek jedna po drugiéj, a łatwo sobie wyobrazić jakie być musiały skoro mogły podobać się podobnym słuchaczom. Krzyczeli tupali nogami, klaskali, i przywoływali ją z głośnym śmiechem radości i zachwytu. Przez cały ten czas przypatrywałem się podziwiając jéj piękność, bo pomimo krzyczącego ubioru, i umalowanéj twarzy, piękność ta była równie niezaprzeczoną wówczas jak dziś, jak wszędzie i zawsze. W owéj to chwili powstał w moim umyśle zamiar który miał tak pomyślnie wpłynąć na jéj przyszłość. Uprowadzę tę dziewczynę z desek teatralnych, pomyślałem sobie, ubiorę przyzwoicie, wytresuję trochę przez parę tygodni, zawiozę z sobą do Toronto i przedstawię jako moją córkę. Jest bardzo piękna, posiada wiele wrodzonego wdzięku znajdzie się pewnie nie jedna lekkomyślna głowa nie jedno gorące serce, wśród moich młodych kolegów, które czarne jéj oczy potrafią doprowadzić do takiego szału, że zanim miesiąc upłynie, któryś z nich może oświadczy się o jéj rękę. Jest tam, naprzykład, młody Caryll... Tak, Gordonie, już wtenczas myślałem o tobie... jest to spadkobierca książęcéj prawie fortuny, a przytem tak łatwowierny że nie pomyśli nawet o zasięgnięciu jakichś wiadomości. Zawsze warto spróbować. Ma się rozumiéć że skoro rybka wpadnie w sieci, pomyślę o tem aby zapewnić sobie nieposlednią cząstkę. Karty przynoszą mi dosyć; ale są sposoby zapewnienia sobie daleko pewniejszych i większych korzyści. Był to pomysł wyborny, i postanowiłem niezwłocznie wprowadzić go w wykonanie. Udałem się natychmiast za kulisy... a jakie to były kulisy!... i tam rozpocząłem z Rozamundą prawdziwie ojcowską rozmowę. Opowiedziała mi dość szczerze swoją historyą: nie miała ani rodziców, ani przyjaciół. Ojca nie znała nigdy, a nędznica która uchodziła za jéj matkę umarła przed dwoma laty. Skończyła już lat szesnaście, i w przeszłym roku wystąpiła pierwszy raz na scenę! pod przewodnictwem murzyna który nauczył ją grać na gitarze i na fortepianie Tego wieczoru nie wspomniałem nic o moim zamiarze, dopiero nazajutrz rano odwiedziłem w jéj izdebce pod strychem, pannę Rozamundę, zwaną poufale Sally, i tam przedstawiłem jej moje plany. Gdybyś widział Gordonie, jak słuchając mnie skakała z radości! Oczy jéj błyszczały jak dyamenty, kiedy zacząłem mówić o strojach i klejnotach. Chciała wznieść się po nad swoją sferę i posiadała potrzebne do tego zdolności. Przekonałem się że jest roztropniejszą i bystrzejszym obdarzoną umysłem niż mogłem się tego spodziewać. Odebrała pewne wykształcenie uczęszczając do szkółki, i mogła wyrażać się poprawnie. Śpiewak murzyn bił ją ile razy się upił, była znużona dotychczasowem swem życiem i otoczeniem, jak niemniéj tą wstrętną dzielnicą Nowego-Yorku w któréj przebywać musiała, i gotowa była opuścić ją natychmiast. Po co mówić więcéj? mój zamiar po upływie trzech miesięcy był faktem spełnionym: wiesz już co było daléj: przyszliśmy, zobaczyliśmy i zwyciężyliśmy a wszystko to z twoją szkodą. Zręczna aktorka z Bowery odegrała swoją rolę *con amore*... ładny pajączek ze złotawemi oczyma uprządł siatkę a nieostrożna mucha uwikłała się w niéj od jednego razu. Zaśluliłeś ją..." Umilkł na chwilę i prosił abym podał mu znowu orzeźwiający napój. Pot śmiertelny już mu występował na czoło; głos jego był słaby, urywany, ale chciał dokończyć opowiadania. Machinalnie przysunąłem mu do ust kubek, tak odurzony że nie byłem w stanie pochwycić znaczenia tego co słyszałem; czułem tylko dziwny zamęt w głowie i miałem to przeświadczenie że mnie jakieś straszne spotkało nieszczęście. „Zaślubiłeś ją Gordonie, odezwał się znów po chwili, i aby oddać sprawiedliwość choćby nawet szatanowi, zdaje mi się że cię kocha. Nie było tego w programie, ale ona to dodała, a jéj niezmordowane usiłowania abym umarł nie wyjawiwszy ci prawdy, godne były lepszéj sprawy. Ale nie jestem znów do gruntu zepsutym człowiekiem, Caryll'u, a zresztą pieniądze nie zdadzą się już na nic temu kto ma umrzéć wkrótce. Wyznałem ci wszystko, możesz teraz postąpić sobie stosownie do swéj woli. Przeszłość jéj stawia cię w bardzo przykrem położeniu, wiem o tem; ale możesz nic o tem nie wspominać; wielu innych zaślubiło kobiety podobne do Rozamundy, a jak ci to już powiedziałem, ona biedaczka szalenie w tobie zakochana; dla czegóż nie miałbyś wyjechać z nią do Anglii, sądzę że tak byłoby najlepiéj i najrozsądniéj. Koledzy dochowają ci tajemnicy, choć ją znają, Gordonie, bo nie wiem jakim sposobem, wszystko to doszło do ich wiadomości i..." Zatrzymał się. Zerwałem się z krzesła... Nie wiem co wyczytał w méj twarzy ale podniósł w górę ręce z przeraźliwym krzykiem przestrachu, błagając abym go nie zabijał. Po tem to tylko przypominam sobie że znajdowałem się na ulicy wśród ciemnéj nocy, bo musiało już być po dwunastéj. O téj godzinie ulice Toronto bywają już zupełnie puste. Zdawało mi się że jakaś rozpalona obręcz mózg mi ściska i obraca się w méj głowie. Opanowało mnie niepodobne do opisania przerażenie połączone z obrzydzeniem, i o tem tylko miałem przeświadczenie; nic więcéj nie wiedziałem, byłem zupełnie osłupiały. Przepędziłem kilka godzin na ulicy, a kiedy się rozwidniło zdawało mi się że noc trwała chwilkę zaledwie. Jednak światło dzienne rozproszyło w części chmury zaciemniające mój umysł, i uczułem całą okropność mego położenia... całą szkaradę czynu którego stałem się ofiarą. Ta którą ukochałem, w któréj pokładałem nieograniczoną ufność, którą zaślubiłem, była tylko nędznicą wyciągniętą przez Lowell'a z kału najbrudniejszéj dzielnicy Nowego-Yorku... I ona od pierwszéj do ostatniéj chwili oszukiwała człowieka który pokochał ją tak szalenie, szydziła sobie z niego... Wściekłość mnie opanowała; pobiegłem do domu wiedziony tam jedną tylko myślą... zabić ją a następnie siebie.

Gordon umilkł na chwilę i wolno przesunął ręką po czole jak gdyby te wspomnienia ciężką jeszcze sprawiały mu boleść. Patrzył czas jakiś na Łucyę a potem mówił daléj:

„Nie było jéj tam. Usłyszała mnie gdy wszedłem do Lowell'a, zbiegła cicho ze schodów, i podsłuchała co mówił. Wróciła do swego pokoju, ubrała się, zabrała wszystkie swe pieniądze i kosztowności i uciekła; opowiedzieli mi to koledzy których tam zastałem. W domu panowało głuche milczenie; major Lowell już umarł. Wszystko co zaszło przez parę następnych tygodni, przedstawia się niewyraźnie w mojéj pamięci. Nie zastrzeliłem się, choć nie umiem powiedziéć co mnie uchroniło od tego. Pogrzebano majora, a wieść o nieszczęśliwéj mojéj pomyłce rozeszła się wkrótce po całem mieście. Nie szukałem wcale Rozamundy; skoro minął pierwszy szał wściekłości, nastąpiła we mnie nagła reakcya. Podałem prośbę o rozwód, prosta separacya nie wystarczała mi... chciałem potargać wszelkie łączące mnie z nią węzły. Napisałem do rodziców, wyznałem im wszystko... wszystko, nic nie przemilczając. Potem postarałem się o uwolnienie z wojska, i na zawsze opuściłem Toronto. Upłynęło parę miesięcy, które przepędziłem w Montreal, unikając wszelkich stosunków z ludźmi, i otrzymałem nakoniec rozwód... byłem wolnym! Postanowiłem wrócić natychmiast do rodzinnéj ziemi, tylko udałem się jeszcze do Kwebeku, chcąc odwiedzić jenerała Forrester, dawnego przyjaciela méj matki a mego chrzestnego ojca. Ma się rozumiéć że wiadomość o mojem szalonem ożenieniu doszła i do niego, bo któż jéj nie znał? Ala zacny jenerał nie uczynił o tem najlżejszéj wzmianki, i prosił koniecznie abym z nim razem poszedł na obiad. Zgodziłem się na to chętnie: przez pięć już miesięcy wiodłem życie pustelnicze, zatęskniłem więc do towarzystwa z ludźmi. Przy obiedzie śmiano się, żartowano, opowiadano różne historyjki, aż w końcu ktoś wzniósł zdrowie *Zaczarowanej Księżniczki*, które wszyscy spełnili z głośnym śmiechem. Zapytałem się, ma się rozumiéć, kto jest owa dama nosząca tak fantastyczne nazwisko, i dowiedziałem się że jest to jakaś pani Gordon, młoda wdowa, bardzo piękna i bardzo bogata, która przybyła do Kwebeku pięć miesięcy temu, i zamknęła się w starym, pustym domu, zapewnie aby wśród ciszy i samotności opłakiwać zmarłego. Przyszło mi natychmiast na myśl, kto był prawdopodobnie ową nieznajomą. „Rzeczywiście, kochany Ercildoun, musi to być nader zajmująca istota; ale czyjeż mamy pić zdrowie, pięknéj blondynki czy téż brunetki? Brunetki, prawdziwéj brunetki... zupełnie jak gdyby wyszła z pod pędzla Tycyana. Czarne oczy ze złotawym odblyskiem, a włosy jakby skrzydło kruka, odpowiedział Ercildoun. Spełniono toast z największym zapałem. Byłem równie wesoły jak wszyscy inni: są chwile w których potrzebujemy koniecznie odurzyć się i uśpić nasze myśli. Zaraz nazajutrz rozpocząłem poszukiwania; postanowiłem ją znaleźć; wskazano mi na ulicy jéj służącą, poszedłem za nią i spacerując do zachodu słońca nad brzegiem rzeki, spotkałem się oko w oko z tą, która była moją żoną. Zdaje mi się iż z początku sądziła że przyszedłem aby ją zabić, lecz uspokoiłem ją natychmiast. Ale, po cóż miałbym opisywać ci, Łucyo, to nasze spotkanie? trwało ono bardzo krótko. Mam nadzieję że widziałem wtenczas po raz ostatni tę kobietę, która przez cztery miesiące była moją żoną. Czyli mówiąc właściwiéj, pragnę tego a pomimo to przeczuwam że jeszcze kiedyś stanie na mojéj drodze. Przysięgła że tak będzie, w chwili naszego rozstania, a jest to kobieta zdolna przełamać wszelkie przeszkody i dotrzymać słowa.

Mówił prędko, może często niezrozumiale, lecz pomimo to opowiedział jéj wszystko. Twarz jego była bardzo blada a w oczach tkwił wyraz rozdzierającéj rozpaczy.

„Wiesz już co po tem nastąpiło; wiesz że ojciec mój nie mógł przeżyć wstydu, jakim pokryłem nasze nazwisko... że matka wyrzekła się mnie na za-

wsze... Ale jakikolwiek los czeka mnie w przyszłości, czuję że zasłużyłem na niego. Nie mam za złe mojéj matce że okazała się dla mnie tak surową. Twój syn Eryk, lub córka jenerała Forrester, odziedziczą zamiast mnie Caryllyne; niech i tak będzie... Co do mnie, dziś jeszcze ztąd wyjeżdżam, a w końcu tego jeszcze tygodnia, opuszczę Anglię na zawsze.

Odwróciła od niego głowę, ale dostrzegł że płacze.

„Wstąpię do pułku odpływającego w tych dniach do Indyi; jeżeli ktoś nie może żyć w swoim kraju, niech się stara być użytecznym choć po za jego granicami. Dość pomyśléć o kobietach i dzieciach pomordowanych w Cawupore, o tych czarnych szatanach męczących tak okrutnie drobne niemowlęta, aby nabrać przekonania, że dla człowieka pragnącego być użytecznym, otwiera się tam pole działalności. Ty więc przynajmniéj, droga moja kuzynko, pożegnaj mnie życzliwem: niech cię Bóg prowadzi.

Ujął jéj ręce, i dodał patrząc w jéj twarz zaćmioną wyrazem smutku.

„A ty Łucyo, czy jesteś szczęśliwą? Jesteś blada i wątła jak cień. Powiedz mi czy Dynely?...

Zatrzymał się.

Znów odwróciła głowę i wysunęła ręce z jego dłoni.

„Wiesz o tem że zawarłam małżeństwo z interesu, odpowiedziała przybierając nagle ton zimny i oschły. Jestem więc o tyle szczęśliwa o ile podobne związki uszczęśliwić mogą, i nie będę nigdy zupełnie nieszczęśliwą, dopóki miéć będę mego syna, mego drogiego Eryka.

Zwróciła się nagle ku niemu, a twarz jéj pokryła się rumieńcem.

„Znałeś lorda Dynely przed jego ożenieniem... przepędziłeś z nim raz całą jesień w Irlandyi, wszak prawda? Powiedz mi...

Umilkła nagle.

— Co takiego, Łucyo?

— Może to tylko moje urojenie, ale zdaje mi się konieczne że... że jakaś tajemnica jest przywiązana do téj bytności jego w Irlandyi. Upłynęło już siedem lat od tego czasu... byłeś jeszcze bardzo młodym chłopcem, jednak...

Zatrzymała się powtórnie, jakby wstydziła się mówić dalej.

— I cóż więcej?

— Czy nie było tam w Galway jakiéj młodéj dziewczyny... wieśniaczki, któraby ściągnęła na siebie uwagę lorda Dynely. Słyszałam...

Umilkła znowu, jak gdyby obawiała się powiedziéć więcéj. Gordon spojrzał na nią z zadziwieniem.

„Wiesz dobrze jakim jest lord Dynely... chciałem powiedziéć jakim był przed ożenieniem, odpowiedział spokojnie Gordon; wiesz że każda piękna kobieta wprawiała go w zachwycenie, bez względu czy była żoną lub córką para Anglii czy tylko prostą wieśniaczką. Przybyło wówczas do Galway bardzo wiele pięknych kobiet; muszę wyznać że lord Dynely uwielbiał je wszystkie, ale czuję się obowiązanym dodać, że, o ile mi się zdaje, z najzupełniejszą bezstronnością, nie dając żadnéj z nich pierwszeństwa nad innemi. Nie kłopocz się, nie zaprzątaj sobie głowy próżnemi domysłami, Łucyo, dość na świecie rzeczywistych przykrości. Teraz muszę cię już pożegnać... Mój Boże! jakże prędko czas bieży. Zatrzymałem się tak długo nie zważając że rosa opada. Bądź zdrowa, Łucyo. Wspomnij czasem o błąkającym się gdzieś po świecie szaleńcu... uściskaj za mnie małego Eryka. Żegnam cię raz jeszcze.

Uchwycił ręce młodéj kobiety, i dotknął ustami jéj twarzy. Z piersi jéj wydarło się głębokie westchnienie.

— A! Gordonie, twoj odjazd rozdziera mi serce!..

— Nie ma rady, odpowiedział ze smętnym uśmiechem.

Puścił jéj ręce, i nie dodając już ani słowa, oddalił się szybko i zniknął jéj wkrótce z oczu, pomimo że księżyc oświecał wszystkie przedmioty.

III.

Śmierć lorda wicehrabiego Dynely.

Upłynęło pół godziny, a Łucya lady Dynely stała jeszcze w miejscu, w którem pozostawił ją jéj kuzyn, nie zważając na rosę spadającą na jéj lekką i strojną toaletę, już przesiąkniętą wilgocią.

Dawniéj, bardzo kochała swego kuzyna, młodszego od niéj o trzy lata, ale zdającego się miéć mniéj przynajmniéj dziesięć pod względem zdrowego sądu o rzeczach i znajomości świata i ludzi. Nie było między nimi, nigdy mowy o miłości, ani oni, ani też nikt nie układał planów małżeństwa między nimi, Łucya dobrowolnie zaślubiła wicehrabiego Dynely, a pomimo to nie doznała nigdy równie żywego, równie dojmującego uczucia zazdrości, jak w chwili kiedy dowiedziała się o małżeństwie Gordona Caryli.

Uważano powszechnie że Łucya Paget robiła nader świetną partyę, idąc za Aleksego wicehrabiego Dynely, dwódziestego barona Camperdown.

Przybyła do Londynu w ośmnastym roku życia, i ukazała się w świecie pod opieką swéj krewnéj hrabiny d'Haldane. Posiadała długą listę przodków a nie miała żadnego majątku, była wysoka szczupła, piękna i wątła jak lilia... wiele osób uważało ją za istotę ckliwą i nic nie znaczącą, pomimo to podobała się lordowi Dynely.

Wrócił właśnie z wycieczki którą odbył swym yachtem do Norwegii i wysp Hebrydzkich, gdy ukazał się nagle na *Targowisku próżności*. Stanowił najpożądańszą partyę w owym czasie; ponieważ miał piękne pałace i posiadłości w czterech hrabstwach, śliczną willę w Ryde, wyprawiał wielkie polowania w Highlandach, i posiadał majątek toczący się jak niewyczerpana rzeka złota.

Była to partya o którą wiele osób starało się usilnie i oddawna, gdyż jego wysokość liczyła już czterdziesty piąty rok życia. Córki i mamy już od dawnego czasu tatuowały twarze, przywdziewały strój bojowy i uporządkowały swe wigwany na jego intencyę, ale żadna z nich nie nosiła jeszcze na dowód zwycięztwa, skóry skalpowanéj z jego czaszki. Unosił się nad wszystkiemi, ale w ogóle baletniczki zachwycały go więcéj niż baronówny, aktorki żywiéj niż księżniczki.

W końcu wszakże i na niego przyszła koléj. Zobaczył Łucyę Paget, i pomimo że nie należała do modnych piękności, podobała mu się, jednak bardzo a że nie zwykł namyślać się długo gdy chodziło o zadość uczynienie swéj fantazyi, postanowił zmienić tryb życia i zdać się na jéj łaskę i niełaskę. Oświadczył się, został przyjętym, i wtenczas dopiero odetchnął spokojnie i z zadowolnieniem gdy już dzień ślubu został oznaczonym.

Wiadomość o tym związku wywołała ogólne zadziwienie. Czemże ta blada, ckliwa i nic nie znacząca istota mogła zająć tego znudzonego i przesyconego zwycięztwami Lowelasa? Cóż w niéj znalazł tak uroczego?

Tak było jednak, pogardził pięknościami, a wybrał tę bladą, zimną blondynkę i zostali z sobą połączeni jeszcze przed końcem sezonu.

Niepodobna było zaprzeczyć że kochał szczerze swą młodą żonę. Niestałość jego weszła w przysłowie, a jednak dla niéj okazał się wiernym.

Podróżowali przez cały rok, poczem wrócili do Anglii z małym Erykiem, a lord Dynely był zawsze najtkliwszym mężem i ojcem.

Jednak od urodzenia syna zaszła w nim widoczna zmiana; wpadał często w posępne i głębokie zamyślenie; z ust jego wysuwały się niekiedy jakieś tajemnicze napomknienia, o jakimś złym czynie którego dopuścił się dawniéj. Mówił ze smutkiem o swym synu, swym spadkobiercy, i znać było że go dręczą wyrzuty sumienia.

Lady Dynely bladła słysząc te pół wyznania. Nie szło tu z pewnością o jeden z tych błędów tak pospolitych między ludźmi światowemi. Musiało to być jakieś przestępstwo które mogło wpłynąć zgubnie na los ich dziecięcia; jakaś zbrodnia za którą będzie musiało odpokutować.

Wczasie snu zakłócanego często wyrzutami sumienia, wymawiał niekiedy imię kobiety: Maureen. Co to miało znaczyć? Łucya nigdy nie kochała męża; zawsze obawiała się go trochę, a z upływem czasu bojaźń ta zwiększyła się jeszcze. Eryk miał już pięć lat, a tajemnica męża pozostawała dla niéj tajemnicą; raz tylko rzekł do niéj:

„Łucyo, jeżeli umrę pierwéj niż ty, będę zmuszony uwiadomić cię o czemś co ci nie małą sprawi przykrość. Ludzie spowiadają się przed śmiercią; pochodzi to z tąd zapewnie że poczuwają się do występnéj przeszłości; chciałbym bardzo wiedziéć czy to wyznanie swych błędów i przewinień zapewnia im spokojniejszy sen w mogile. Napiszę moją spowiedź i zostawię ją opieczętowaną razem z testamentem, i gdybym przypadkiem nagle zakończył życie... do naszego rodu jest przywiązany jakiś fatalizm, że wszyscy umieramy nagle lub w skutek jakiegoś wypadku... będziesz mogła dowiedziéć się o wszystkiem. Znajdziesz tam pociechę dla siebie, rzekł uśmiechając się, nie miałaś do mnie nigdy najlżejszego przywiązania, zaślubiałaś tylko mój majątek, zapewnię ci używalność jego do końca życia a więc nie umrzesz ze zmartwienia.

Gwiznął na psy i odszedł wolno nie dodając już ani słowa. Żona słuchała go blada, z oczyma szeroko rozwartemi zadziwieniem, ale nie zadała mu żadnego pytania. Nie posiadała ani mocy umysłu, ani siły charakteru i siły fizycznéj: i unikała wszelkiego rodzaju boleści o ile to było w jéj mocy.

Jeżeli lord Dynely ma jakieś tajemnice, myślała sobie ona znać ich nie potrzebuje, i nie życzy sobie wcale aby jéj czynił jakieś wyznania, było to nawet okrócieństwem z jego strony że je czynić obiecuje. Skoro ukrywa je za życia, to czemuż ma je wyjawiać po śmierci?

Rozmyślała właśnie nad tem po oddaleniu się Gordona, i wyglądała jakby widmo przechadzające się przy świetle księżyca, z tą swoją białą suknią, bladą twarzą i jasnemi włosami. Nie przeczuwała że w tenczas właśnie kiedy ją zajmowały te myśli, zbliżał się właśnie posłaniec który miał ją uwiadomić, że już wkrótce dowie się owéj tajemnicy.

Zegar wydzwonił poważnie jedenastą godzinę, i obudził ją z zamyślenia. Jakże to już było późno i zimno?

Zadrżała; teraz dopiero uczuła chłód i wilgoć nocy, i postanowiła wrócić śpiesznie do domu, zatrzymała się jednak wkrótce, gdy głośny tentent konia pędzącego galopem przerwał ciszę nocy.

Czyby to Gordon wracał? Lada co ją przerażało, więc i teraz serce jéj zaczęło bić silniéj. Już mo-

żna było dojrzéć konia i jeźdźca, który dostrzegł ją także i zeskoczył z siodła. Nie, ten mały człowieczek nie jest jéj kuzynem tylko aptekarz Squills.

„Mylady...

Zdjął kapelusz i pochylił przed nią głowę, przy świetle księżyca mogła dojrzéć przerażony wzrok jego i twarz wybladłą.

„Co się stało? zapytała.

— A! mylady... nie chciałbym przerazić mylady... polecono mi uwiadomić ją... ale to tak trudno przynosić komuś podobną wiadomość. Na kolei był straszny wypadek... Pociąg przychodzący z Plymouth o 9-éj minut 50, a... niech to nie przestrasza mylady... Jego Wysokość jechał tym pociągiem, i...

Przycisnęła rękę do serca gdyż czuła się bliską zemdlenia. Po chwili jednak zapytała:

— Mówisz pan że na kolei był wypadek; że lord Dynely jechał właśnie tym pociągiem, czy?...

— O! milady, zbierz wszystkie siły... To rzecz straszna odebrać nagle wiadomość że... że...

— Czy lord Dynely został ranionym? zapytała znowu.

— Tak milady, i ciężko ranny... Boleśnie mi to powiedzieć, lecz...

— Czy rany są niebezpieczne?

— Tak się zdaje, milady. Pan Glauber jest przy nim, i telegrafowano do Londynu, wzywając któregoś z najsławniejszych lekarzy.

— Czy jeszcze żyje? zapytała głosem w którym czuć było smutek i przerażenie.

— Tak milady, żyje, lecz... lepiéj dowiedziéć się od razu prawdy, jutro już żyć nie będzie. Ksiądz jest już przy nim, ale ciągle pyta się o milady.

— Gdzie jest?

— Nie daleko ztąd, w oberży... milady, nie ma czasu do stracenia.

Pobiegła szybko do domu. Spotkała jednego ze służących, i kazała aby powóz zajechał natychmiast. Włożyła kapelusz, okryła się szerokim czarnym burnusem i miała już zbiedz ze schodów, kiedy zwróciła się nagle i weszła do przyległego pokoju, do *mursery*, gdzie już spało jéj dziecię.

Lampka nocna rzucała tam słabe tylko światło. Dziecię spało w swem miękim i osłoniętem koronkami łóżeczku. Był to śliczny i czerstwy chłopczyk; biały, rumiany ze złotemi włoskami, z uśmiechem na ustach, mógł napełnić serce matki uczuciem dumy i radości. Pochyliła się nad nim i obsypała go namiętnemi pocałunkami.

„O moje dziecię, mój aniele, szepnęła, ty jesteś dla mnie wszystkiem na świecie, dopóki ja żyć będę nie dosięgnie cię żadna przykrość jeżeli tylko będzie w méj mocy oddalić ją od ciebie!

Wyszła z pokoju, zbiegła prędko ze schodów, i w minutę później powóz toczył się już do wiejskiéj oberży, w któréj mąż jéj leżał na śmiertelném łożu.

Zaprowadzono ją do jego pokoju. Kapłan i lekarz ustąpili miejsca żonie. Raniony leżał otoczony poduszkami, z głową owiniętą bielizną, z twarzą strasznie bladą i zmienioną. Nie znała szczegółów tego strasznego wypadku, nie pytała się nawet o nie, widziała tylko że jest już prawie konającym.

Oczy jego zabłyszczały skoro zwrócił je na nią, ale jednocześnie zmarszczył brwi.

„Powiedz im niech wyjdą wszyscy, rzekł do niéj.

Objawiła obecnym życzenie chorego, i padła na kolana przy jego łóżku. Czarny burnus rozsunął się i widać było białą jéj, strojną suknią, kosztowne koronki i klejnoty, stanowiące tak rażącą sprzeczność z widokiem zbliżającéj się śmierci.

Drżała całem ciałem, zęby jéj szczękały, szeroko otwarte oczy, zdawały się być przykute do twarzy umierającego.

Lord Dynely wpatruje się w nią gniewnym wzrokiem.

„Umieram, jak widzisz, rzekł do niéj. Nie kochałaś mnie nigdy... tak nigdy, nawet w dniu naszego ślubu. Nie troszczyłaś się nigdy o mnie... dla czegóż więc ja miałbym troszczyć się o ciebie? dla czego miałbym wahać się powiedziéć ci prawdę?

Znalazł się jeden cierń na drodze jego życia usłanéj różami; tym cierniem była pewność że uboga dziewczyna którą zaślubił nie kochała go wcale.

„Powiedz mi teraz, mówił daléj z ponurem i gniewnem spojrzeniem, bo nie miałem odwagi zapytać cię o to pierwéj... wyznaj teraz, że zaślubiłaś tytuły i majątek,a nie człowieka.

— Zbłądziłam odpowiedziała krótko, ale starałam się wywiązać godnie z moich względem ciebie obowiązków. Przebacz mi, Aleksy.

— A! rzekł z goryczą, mamy sobie nawzajem coś do przebaczenia... nie pozostaliśmy sobie dłużni. Postąpiłem niecnie względem ciebie... postąpiłem niecnie względem niéj także. Ciężko to przyznać się do hańbiącego nas czynu, ale trzeba abyś dowiedziała się prawdy, a następnie postąpisz tak jak to uznasz za właściwe. Przybliż się...

Przysunęła się bliżéj jeszcze do łóżka. Uchwycił jéj rękę stygnącemi już palcami, i rozpoczął swą spowiedź cichym, przerywanym głosem.

Upłynęło pół godziny... godzina... i znowu godzina, a z tego zamkniętego pokoju nie dochodzi szmer najlżejszy. Dziwna rzecz... Doktór i proboszcz zaczęli się niepokoić, i spoglądać na zegarki. Niepodobna nawet przypuścić aby lord Dynely mógł mówić przez czas tak długi, nie podobna także sądzić że zasnął. Proboszcz zniecierpliwił się nakoniec i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał powtórnie; i teraz napróżno. Otworzył drzwi. Lord Dynely leżał już martwy na łóżku, a milady klęczała przy nim ciągle tak sztywna blada i zimna, jak posąg wykuty z kamienia.

„Mylady!

Nie poruszyła się i nie odpowiedziała.

„Droga lady Dyneli! zawołał proboszcz niespokojnie.

Zwróciła na niego bezmyślne spojrzenie. Przysunął się do niéj widząc że się chwiać zaczyna, i przytrzymał zanim zemdlona upadła na ziemię.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Rozdział I.

Akademia Królewska.

W śliczny dzień majowy, po południu, cały Londyn był tak ożywiony jak gdyby miano obchodzić jakąś uroczystość narodową, pod niebem równie czystem jak włoskie.

Na Piccadilly ciągnął się długi sznur herbowych powozów; całe szeregi furmanów i lokai w liberyi najróżnorodniejszych barw i najrozmaitszego kroju tamowały drogę: był to dzień otwarcia Akademii Królewskiéj.

Sale były napełnione, nawet przepełnione; damy w strojnych toaletach i gentlemanowie potrącali się wzajemnie, jak to bywa zwykle w tłoku, choćby z samych nawet biskupów. Mnóstwo tam było dandych ze szkiełkiem w oku przybierających minę dyplomatów; malarzy z długiemi włosami i charakterystyczną fizyognomią krytyków, z papierem i ołówkiem w ręku; nabywców upatrujących zawczasu ofiary na którąby rzucić się mogli; poważnych lady ciągnących za sobą jedwabne treny swych kosztownych sukien, i młodych złotowłosych dziewcząt na których licach kwitną lilje i róże.

Na zegarze Saint-James wybiła czwarta godzina w chwili kiedy dwie damy i młody gentelman zaczęli sobie torować drogę w tym ruchomym jak fale morza tłumie, zwracając na siebie ogólną uwagę. Jedna z tych dam była już w średnim wieku; wysoka, blada, jasna blondynka, nosząca na twarzy wyraz smętnéj zadumy i znużenia, posiadała tak w rysach jak i w każdym ruchu bardzo wiele dystynkcyi. Jednak nie na nią to zwracały się wszystkie spojrzenia. Towarzysz jéj był mężczyzna młody, bardzo wysoki, szeroki w barkach, czerstwy, słowem uosobiona siła muskularna; miał długą i gęstą rudą brodę, takież same wąsy, włosy krótko przystrzyżone, a z ruchów jego znać było że był wojskowym. Nie on to jednak ściągał na siebie ogólną uwagę. Terry Demison był równie dobrze znany w mieście jak lwy otaczające posąg Nelson'a. Oczy wszystkich zatrzymywały się na towarzyszącéj im młodéj panience, wysokiego wzrostu, wysmukłéj, posiadającéj śliczną kibić, rysy prawdziwie klasyczne, i ruchy także że mogłaby jéj pozazdrościć ich nawet nie jedna królowa. Była to piękna brunetka z karnacyą oznaczającą temperament ognisty, olśniewającą, pełną świeżości, z oczyma ciemnemi, pełnemi życia, z pysznemi splotami ciemnych włosów, z pięknie zarysowanemi ustami których kontury zdradzały silną wolę, i z postawą która zdawała się mówić do wszystkich: *Incedo regina*.

Ubiór jéj był skromny, pełen téj prostoty będącéj wyrazem sztuki doprowadzonéj do doskonałości. Suknia z muślinu indyjskiego, czarna koronkowa zarzutka, przytrzymana na jednem ramieniu bukieciekiem żółtych róż. Na głowie koronkowy kapelusik ozdobiony jedną żółtą różą. W małéj rączce osłoniętéj jasno perłową rękawiczką, trzymała bukiet żółtych róż.

Liczne grono wykwintnych i znudzonych elegantów z Foreigne Office i Gwardyi zebrane przy drzwiach, przyłożyło szkiełka do oczu i spoglądało za nią z pewném zajęciem.

„To jakaś zupełnie nowa postać, odezwał się jeden z nich; w tym sezonie nie widziałem jeszcze nic równie pięknego. Czy kto z was nie wie kto to jest?

Nikt jéj nie znał.

„Masz słuszność, Danby, to jakieś zupełnie świeże zjawisko. Jaka królewska postawa. Na żadnym z tych obrazów nie ma równie pięknéj nimfy ani téż bogini. Kto to być może?

— Towarzyszy jéj lady Dynely, odezwał się trzeci.

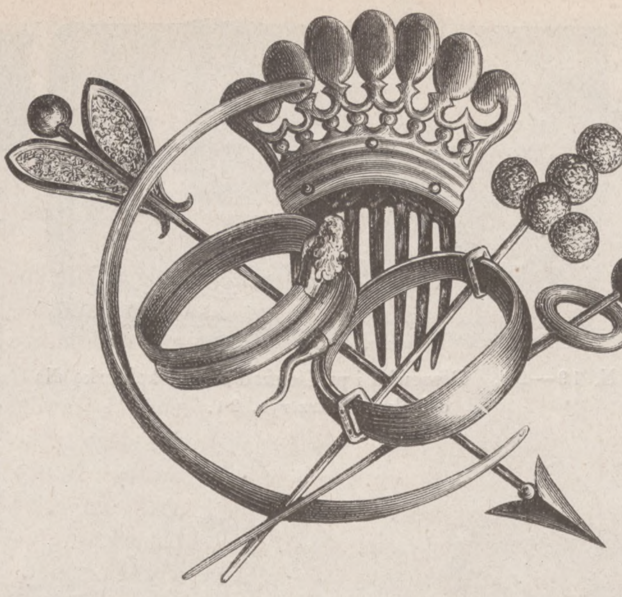
— A Terry Deunison opiekuje się nimi. Patrzcie przyprowadził je do najznakomitszego w tym sezonie obrazu, pędzla Locksley'a, i pozostawił je tam. Zbliża się do nas. Proszę cię, panie Deunison, powiedz nam co to za jedna?...

— Co za jedna? kto taki? gdzie? co? zapytał Deunison.

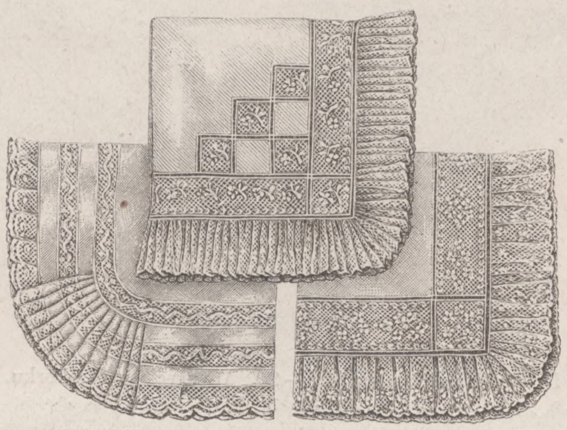
(d. c. n)



N. 8. Chusteczka z koronki duchesse.



N. 1—7. Modne grzebienie i szpilki do głowy.



N. 10—12. Trzy chusteczki do nosa.



N. 9. Zarzutka wywodzona na tiulu. Patrz ryc. 36—38

Opis do N. 21.

(ciąg dalszy).

N. 8. Chusteczka z koronki duchesse.

Ma formę dużego szalowego kołnierza, przedłużonego z tyłu w ząb, z przodu z długiemi końcami raz tylko przewiązanemi; przy wykroju szyi jest podgarnirowana crêpe-lisse. Zamiast kosztownej koronki duchesse można taką chusteczkę zrobić własnoręcznie z tasiemeczki koronkowej podług wzorów podawanych w Tygodniku; piękny deseń podaliśmy w dzisiajszym N-rze na rycinie 31.

N. 9 i 36—38. Zarzutka wywodzona ręcznie na tiulu.

Ładne dopełnienie letniej wizytowej toalety stanowią zarzutki wywodzone na tiulu najlepszego gatunku na sposób koronek bretońskich. Chusteczka przedstawiona na ryc. 9 ma na około brzegów dany wązki szlaczek, na który deseń znajdzie się prawie w każdym N-rze Tyg. po nad szlaczkiem w odstępach 3 cent. rzucane są bukieciki, na całem zaś tle dany mniejszy lub większy rzucik. Rycina 37 i 38 podają w naturalnej wielkości dwa różne wzory wyszycia, w których kontury wywodzą się grubszemi glansownemi nićmi, a listki zapełniają się cieniutkiemi koronkowemi. Formę chusteczki podajemy w maleńkim formacie na rycinie 36, z wypisaniem miar szerokości i długości.

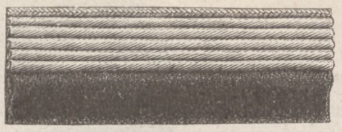


N. 13—16. Ubrania letnie.

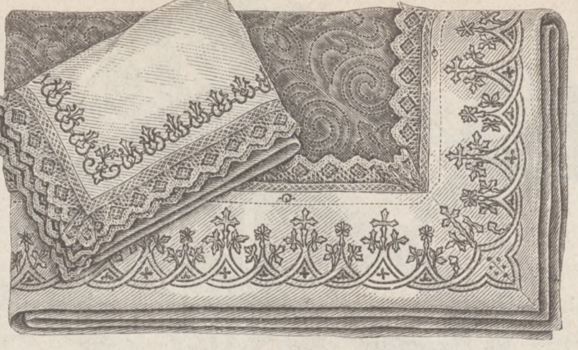
N. 13. Suknia z vêtement a panier. N. 14. Suknia z bawetowym stanikiem i chusteczką. N. 15. Suknia z vêtement. N. 16. Suknia ze stanikiem zwanym szpenser.

N. 10. Chusteczka z ozdobnemi narożnikami.

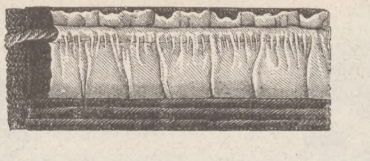
Brzegi chusteczki oszyte są wszywką 3 cent. szeroką i koronką bretońską drobniutko plisowaną, w narożnikach wyszyte są kwadraciki koronkowe, przedzielone batystowemi.



N. 17. Podszycie rondka przy kapeluszach słomkowych. Patrz ryc. 48—49.



N. 19—20. Poszewka i prześcieradło pod kołderkę dla dziecka. Patrz ryc. 21.



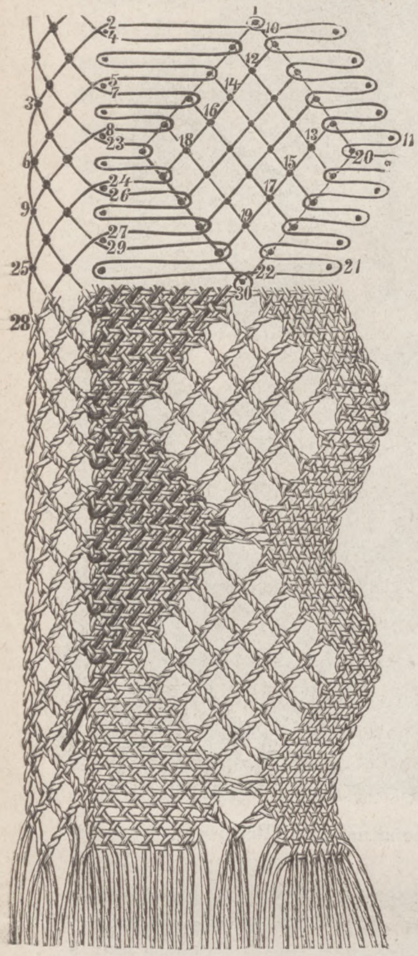
N. 18. Podszycie rondka przy kapeluszach słomkowych. Patrz ryc. 48—49.

N. 11. Chusteczka z zaokrąglonemi rogami.

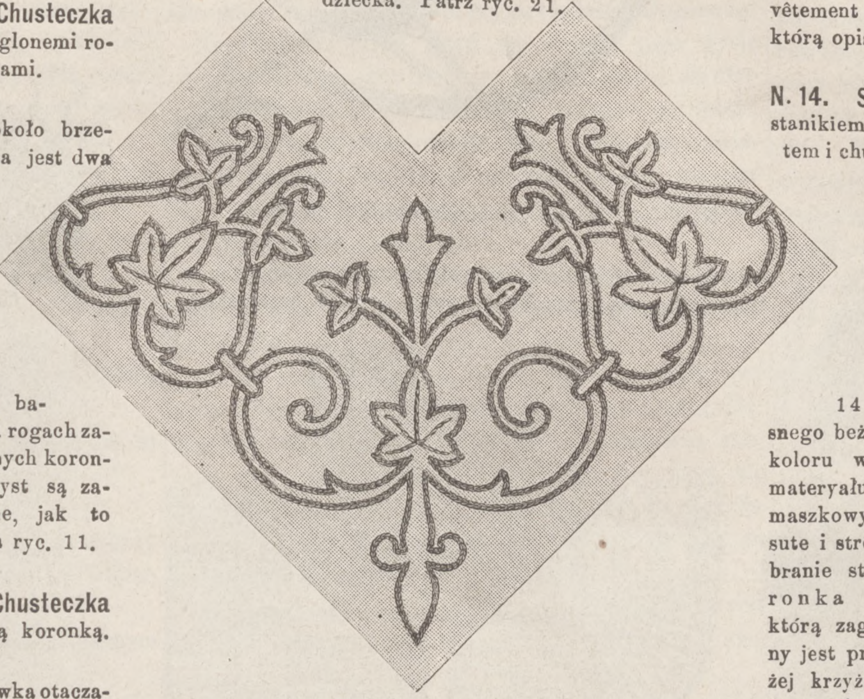
Na około brzegów dana jest dwa razy wszywka koronkowa i koronka rozdzielone paskami batystu, na rogach zaokrąglonych koronka i bątyst są zaplisowane, jak to widać na ryc. 11.

N. 12. Chusteczka z szeroką koronką.

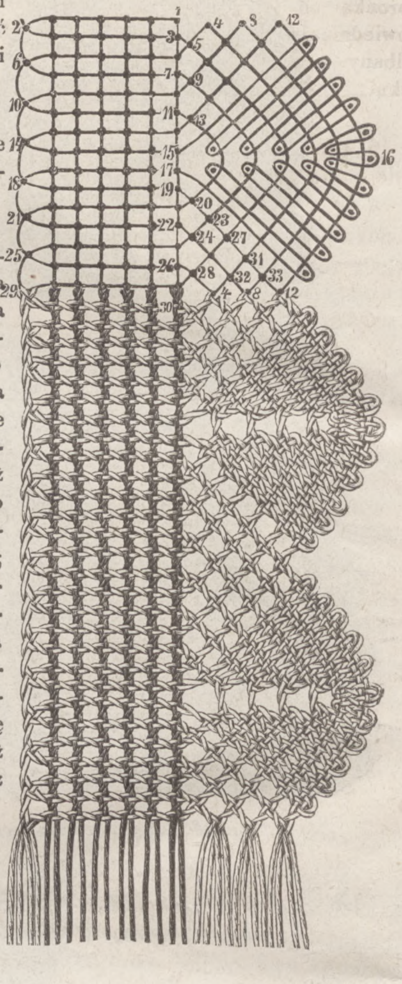
Wszywka otaczająca brzegi na rogach nie jest zwrócona lecz prosto przecięta i skrzyżowana; z brzegów wszywki między tłem z jednej a szeroką koronką z drugiej strony dana ażurowa niciana tasiemeczka.



N. 22 Koronka niciana robiona ręcznie 40 nitkami.



N. 21. Szlak do ryc. 19—20. Wyszycie w tamborku.



N. 23. Koronka niciana robiona ręcznie 28 nitkami.

N. 13. Suknia z vêtement a panier.

Odrobiona z gładkiego wełnianego materyału i z fularu w rzucik mille-fleurs. Spódnica nie sięgająca do ziemi układana jest w płaskie fałdy w całej długości a przód ma gładki z fularu; u dołu przedniego bryta dany garnirunek 35 centym. szeroki, z boków podchodzący pod fałdy. Vêtement z przodami podniesionemi a panier, przez co widać podszycie atłasowe, pod szyją otwarte podłużnie, dopełnione kamizelką fularową i ozdobione atłasowym kołnierzem zapiętym węzłem; rękawy zakończone gładkim atłasowym mankietem. Kilka rodzajów vêtement a panier podaliśmy w poprzednich N-rach, podług nich można dopasować vêtement do sukni którą opisaliśmy.

N. 14. Suknia ze stanikiem z bawetem i chusteczką.

Gustowna suknia przedstawiona na rycinie 14 jest z jasnego beżu i tegoż koloru wełnianego materyału w adamaszkowy deseń; sute i strojne przybranie stanowi koronka bretońska którą zagarnirowany jest przód poniżej krzyżującej się draperyi. Takaż koronka i pukle z atłasowej wstążki zdobią brzeg stanika bawetowego, przysłoniętego chusteczką z indyjskiego muślinu, oszytą koronką bretońską.

N. 15. Suknia z vêtement.

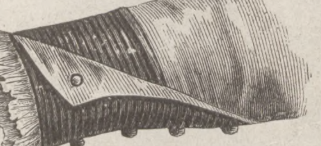
Przód i boki spódnicy są fałdowane w całej długości, na około zaś u dołu dane plisowanie 40 cent. szerokie. Vêtement otwarte z przodu i odwinięte do tyłu odsłania fałdowany przód, ozdobiony dwoma koronkowemi falbankami; tylne bryty vêtement lekko podpięte dochodzą prawie do dołu sukni. Ubranie przedstawione na rycinie 15 składało się z jaśniejszej spódnicy z materyi faille i z vê-



N. 29. Serwetka z kwadratów wyszywanych i siatkowych. Patrz ryc. 8—13 w N-rze 20.



N. 25. Paletocik dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 26.



N. 24. Rękaw do sukni.



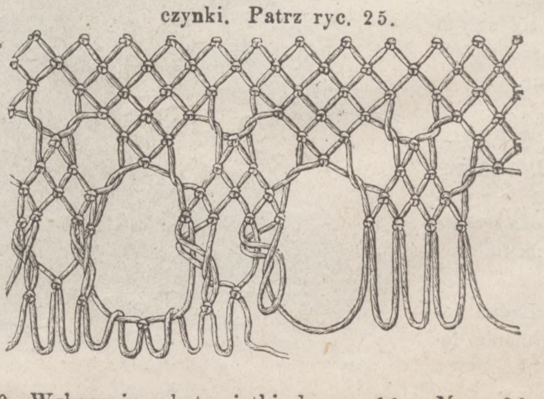
N. 26. Paletocik dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 25.



N. 27. Koronka do parasolika ryc. 29 w N-rze 20.



N. 28. Kolebka koszykowa strojnie przybrana.

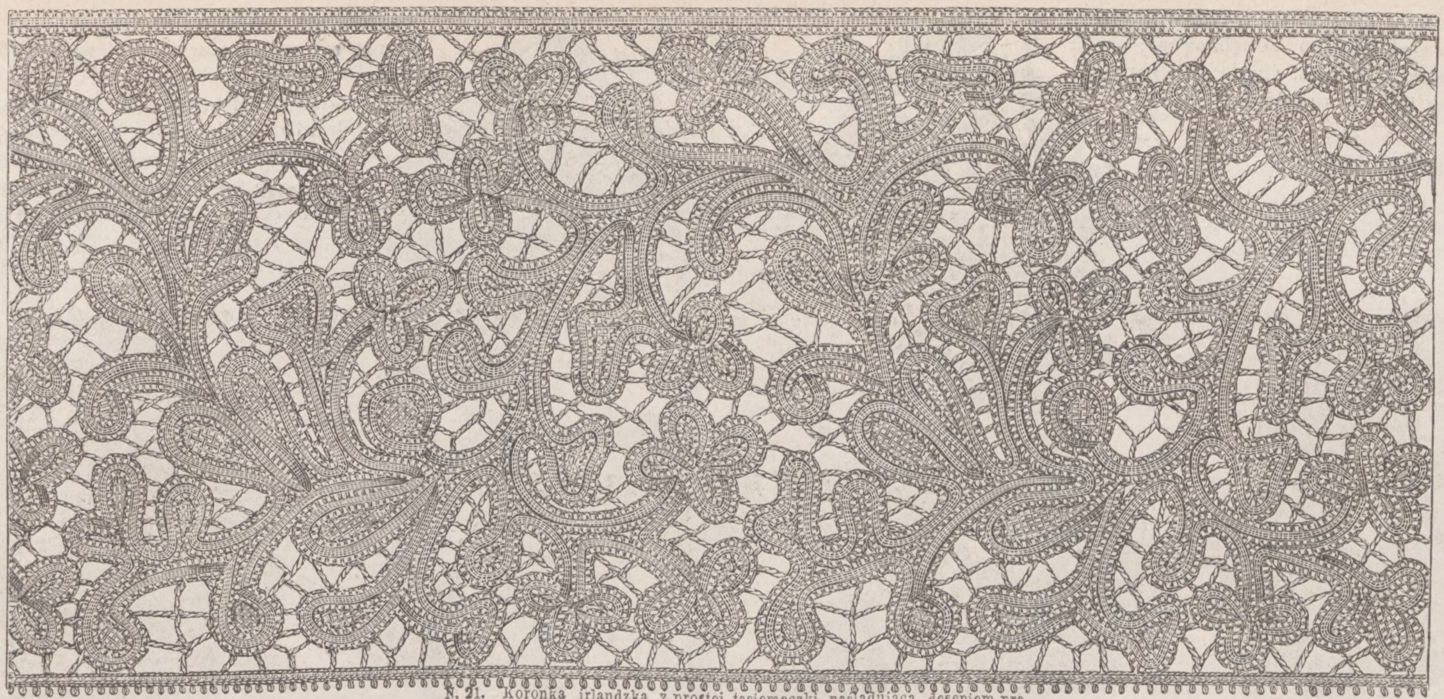


N. 30. Wskazanie roboty siatki do ryc. 11 w N-rze 20.

tement z ciemniejszego kaszmiru, bez żadnego przybrania tylko z jedwabną kamizelką. Podłużny wykrój szyi i rękawy podgarnirowane koronką odpowiednią do falbany na sukni.

N. 16. Ubranie letnie.

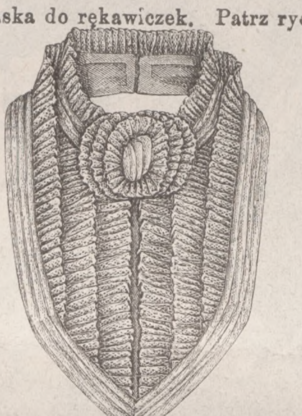
Suknia nie sięgająca do ziemi ma przód i tylne kliny z gładkiego materyału złożone w fałdy, bryt zaś tylny i zwierzchnie boczne bryty ogarnirowane na około koronką, są z materyału w paski i przyczepiają się na spódnicy podług ryc. 16. Wierzchem tych brytów przerzucany jest rodzaj szarfy z gładkiego skośnie wziętego materyału, z przodu na środku przepiętej kokardą, z tyłu zachodzącej pod stanik i zakończonej puklami. Stanik (szpencer) zbliżony formą do bawetowego, podłużnie wycięty pod szyją, ogarnirowany koronką daną trzema rzędami aż do brzegu dolnego; z pod koronki wysuwa się podszycie z crêpe lisse. Rękawy sięgające do łokci, zakończone falbaną i ranwersem koronkowym.



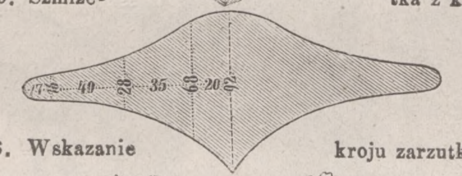
N. 21. Koronka irlandzka z prostej tasiemeczki naśladująca deseniem prawdziwe stare koronki.



N. 32. Praska do rękawiczek. Patrz ryc. 33—34.



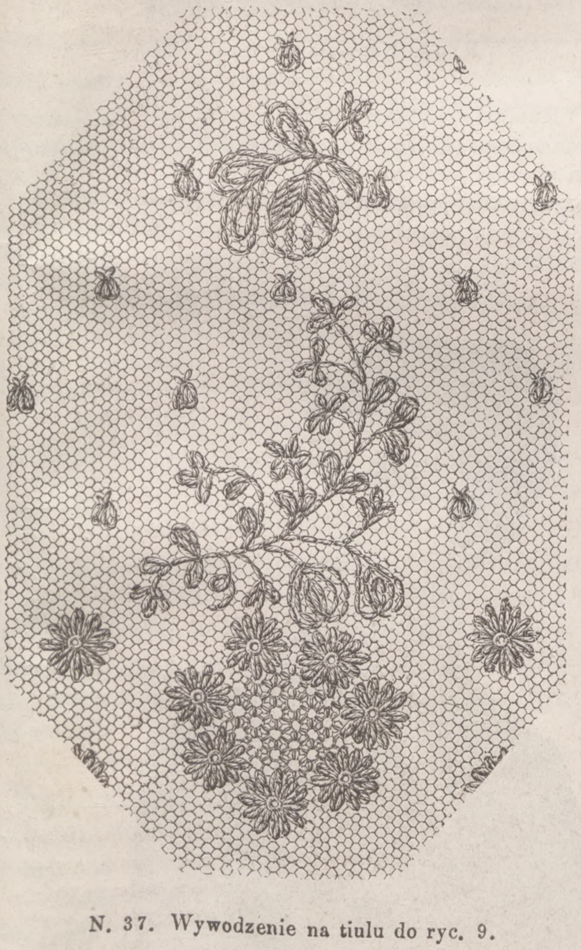
N. 35. Szmizetka z koronki.



N. 36. Wskazanie kroju zarzutki r. 9.

N. 19 — 21. Kołderka z prześcieradłem i poszewka dla dziecka.

Prześcieradło do przypinania na guziki i poszewka z cienkiego płótna są jednakowo ozdobione szlakiem z kolorowej bawełny, robotą tamborkową, ściegiem łańcuszkowym lub t.p. Deseń w naturalnej wielkości załącza ryc. 21; poszewka liczy 56 cent. długości a 48 szerokości i ozdobiona jest węższym szlakiem, prześcieradło zaś 130 cent. długie a 92 szerokie ma szlak szerszy, wyszyty podług Fig. 26 na arkuszu z krojami do N-rze 22 i 23, lub powiększony podług ryc. 21. Brzegi oszyte są koronką nicianą mocną do prania, jakiej wzory widzimy na ryc. 22 i 23 przeszyte nitką kolorową.



N. 37. Wywodzenie na tiulu do ryc. 9.



N. 38. Wywodzenie na tiulu do ryc. 9.

N. 25—26. Paletot dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 31—32 w N. 19.

Krając podług powyżej wskazanej formy przy przodach nie daje się kamizelki lecz naddaje materyału, aby paletocik zapinał się na dwa rzędy. Plecy są bez żadnych fałd, tylko przy drugich częściach u dołu naddaje się na klapki zachodzące na części środkowe, po 3



N. 33. Rzucik do ryc. 32.



N. 41. Sukienka z fałdami dla dziecka lat 3.



N. 39—40. Suknia z kamizelką i długim stanikiem.



N. 42. Sukienka z kaftanikowemi przodami dla dziecka lat 3.



N. 34. Rzucik do ryc. 32.

cent. wszerz a 18 wzdłuż. Model był z ciemno popielatego sukienka, na szwach szeroko zastębnowany; guziki okrągłe złote. Kieszonki 11 cent. długie, 13 szerokie; mankiety na rękawach 9 cent. szerokie.

N. 28. Kolebka koszykowa.

Kolebki bez żadnych biegunów rozpowszechniają się coraz więcej; na ryc. 28 przedstawiliśmy model kolebki ładnie plecionej, 35 cent. głębokiej a 200 obwodu mającej. Odpowiednio do możności i gustu w środek daje się wyłożenie z kolorowej materyi, kaszmiru lub bawełnianej satynki, pod które poddaje się watę, aby dno i boki były miękkie. Zwierzchnie przyozdobienie i pokrycie daszku stanowi cienki muślin, w kolorowy rzucik wyszyty ręcznie, riusze z kolorowej materyi, koronka i wszywki podwleczone materyą.



N. 43. Kapelusik pleciony ze słomki i wstążki. N. 44. Kapelusik z kolorowej słomki.

w naturalnej wielkości na ryc. 8—11; cienka igliczka kanwa tak zwana canevas de congres i jedwab kordonkowy wiśniowy lub niebieski.

Serwetka przedstawiona na ryc. 29 składa się z kwadratów siatkowych i kanwowych; cztery narożne kwadraty wyszywają się na kanwie podług ryc. 13 w N-rze 20; środkowy kwadrat przedstawia ten sam deseń powtórzony cztery razy, przez co tworzy rodzaj gwiazdy. Brzegi kwadratów otacza kratka ażurowa.

Kwadraty siatkowe zasługują na uwagę; tło siatkowe robione jest gładko i rozdzielane paskami siatki w gwiazdki w części zaś robione jak „filet antique.“ Tak jak każda siatka prosta i ten kwadrat jaki podajemy na ryc. 11 zaczyna się od 1 oczka i rozszerza przez stopniowe przybranie po 1 o. na końcu każdego rzędu, aż do potrzebnej liczby oczek, następnie gubi się w każdym rzędzie po 1 oczku zrabiając dwa końcowe razem.

(*Dok. nast*).



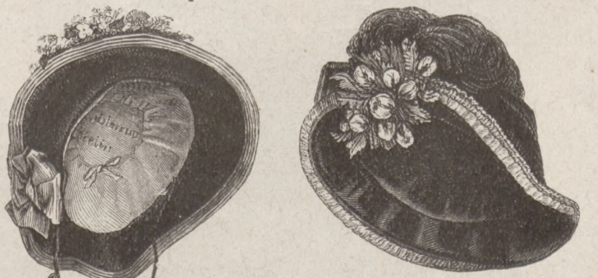
N. 45. Kapelusz zdobny wstążką i piórami.



N. 46. Kapelusz z kokardą alzacką.



N. 47. Kapelusz zdobny kwiatami i koronką.



N. 48 — 49.
Dwa podszycia rondka od spodu. Patrz rycina 17—18.



N. 50. Kapelusz słomkowy zdobny gazą i różami.

N. 29—30. Serwetka z siatki gipiurowej i kwadratów wyszywanych. Wzory siatki i deseń wyszycia ściegiem krzyżykowym patrz ryc. 8 — 13 w N-rze 20.

Materyał: nici Nr. 60 na tło siatkowe, Nr. 50 do wywodzenia; drut którego grubość powinna być zastosowana do wielkości oczek w siatce wskazanej



N. 51. Stanik z długą kamizelką.



N. 52. Stanik z szerokiemi klapkami.